

BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA

DZIEJE WACŁAWA

POEMA

STEPANA GARCZYŃSKIEGO

WYDANIE 2^o



PARYZ
KSIĘCARNIA LUXEMBURGSKA
15 ULICA DE TOURNON 16.

XXW3386C 78

BIBLIOTEKA LUDOWA
POLSKA.

WACŁAWA DZIEJE
POEMA
STEFANA GARCZYŃSKIEGO

WYDANIE 2e



J. FRANKEL.

PARYZ
KSIĘCARNIA LUXEMBURGSKA
16 ULICA DE TOURNON 16.

VIVIER, DEL.

A. THERINGTON



518893



518893

Xu 250/78/20

27.12

WACŁAWA DZIEJE.

POEMA.

The time is out of joint. — O cursed spite
That ever I was born to set it right!

SHEKESPEAR (*Hamlet*).

ADAMOWI MICKIEWICZOWI

NA PAMIĄTKĘ KILKU MIESIĘCY Z ROKU 1831go
RAZEM W DREZNIE PRZEPĘDZONYCH

POŚWIĘCA

PRZYJACIEL DOZGONNY.

PRZEDMOWA.

Stefan Garczyński, poeta filozof, wprowadzi nas w historję filozoficzną epoki ostatniej. Urodził on się w księstwie Poznańskiem w roku 1805 czy 1806, w chwili wejścia Legjonów do Księstwa. Mając lat jedenaście patrzył na trjumfalny powrót Prusaków po ustąpieniu wojsk francuzkich i polskich. Wypadek ten polityczny wyrył się na zawsze w jego pamięci: z kilku rówieśnikami swymi zaprzysiągł wieczną nienawiść ku Niemcom. Jednak opatrność tak chciała aby długo przebywał w kraju niemieckim i znaczną część życia spędził między Niemcami.

Wielki ten poeta nie przeczuwał swego powołania, oddał się filozofji, słuchał wszystkich sławnych filozofów niemieckich i szczególnie przywiązał się do Hegla. Po kilku latach pilnej nauki, zgłębiwszy wszystkie teorie filozoficzne, powziął zamiar ufundowania filozofji polskiej. Był on wtenczas bardzo nieszczęśliwy. Przybywszy do Niemiec z resztkami zabytków religijnych, stracił je wkrótce, stał się niedowiarkiem, w filozofji Hegla upatrywał najwyższy i najpiękniejszy wykład chrystjanizmu, bo jak wiadomo Hegel i zwolennicy jego szkoły ciągle występują z formułami chrześcijańskimi, prawiąc o *Słowie które było na początku* i o *grzechu pierworodnym*, chociaż to u nich wcale co innego znaczy niż u chrześcijan prawowiernych. Ale zbadawszy myśl główną filozofji Hegłowskiej, Garczyński poznał że była nieprzyjazną Polsce.

Filozofja ta, ubóstwiając człowieka, ubóstwiając rozum człowieczy, i dowód tego rozumu wskazując tylko w robocie ludzkiej, w robocie zewnętrznej i widomej, oddawała hołd powodzeniu, i w Niemczech a mianowicie w królestwie pruskiem, upatrywała najwznioślejszy wyraz rozumu i siły człowieka, czyli tem samem najwznioślejszy wyraz bóstwa. Przypomnijmy bowiem sobie, że podług tego systemu, Bóg wciela się w człowieka, nie działa, nie myśli inaczej jak tylko przez człowieka, tak dalece, iż można powiedzieć każdy wynalazek ludzki z bogactwa niejako wiedzy Boską. Szczególniejsza ta filozofja mniema, że Bóg stworzywszy kulę słoneczną, nie mógł bez pośrednictwa człowieka wymyślić zegaru. Niektórzy adepci tej szkoły powiada-

ją wyraźnie, że wynalazek machin parowych, przyczynił się do postępu bóstwa; gdyż bóstwo to uważają oni w sposób panteistyczny, jako jestestwo rozległe i powszechne, które niema pewnego sumienia swojej osobistości i potrzebuje rozdrobić się na wiele duchów, wcielić się w ludzi, żeby przyszło do uczucia nie tylko swojej mądrości, ale nawet swojego bytu.

Zdaje się że w owym czasie kiedy Garczyński odbywał nauki w Berlinie, nie było nikogo prócz niego coby obejmował całość idei Heglowskiej. To nie powinno dziwić, bo już dowiedziono że we Francji, gdzie mało i nie ślęcząc czytają Hegla, filozofja jego lepiej została zrozumiana niż w Niemczech, to jest lepiej odgadnięto jego myśl zasadniczą, jej dążność i następstwa jakiego w zastosowaniu sprawiła. Ponieważ jest ona niczem więcej jak tylko logiką rozległą spotkała we Francji umysły nielitościwie logiczne, które idąc prosto do celu, zaraz samą jej rdzeń wydobyły; a że Polacy pod tym względem mają wielkie podobieństwo z Francuzami, Garczyński przeniknął ją bardzo dobrze i nawet niektórym profesorom niemieckim wytłumaczył. Sławny Ganz oddawał mu tę sprawiedliwość.

Rewolucja polska 1830 roku, oderwała Garczyńskiego od nauki. Po upadku powstania udał się za granicę i umarł w Awenionie mając lat 27. Ale przed śmiercią wydał dwie części poematu, który jest najrozleglejszym utworem filozoficznym pomiędzy wszystkimi jakie są w językach słowiańskich.

Poemat ten ma tytuł: *Wacława dzieje*. Życie pojedynczego człowieka w różnych zmianach mających wpływ na jego stan moralny, składa cały przedmiot. Bohater Garczyńskiego przypomina poniekąd bohaterów Byrona: jest to nieszczęśliwy młodzieniec, dla którego nic już na tym świecie nie ma poęty, który wśród bogactw i wszelkich przyjemności umierając z rozpacz, w naukach szuka rozrywki. Widzimy w nim coś naksztalt Fausta, coś naksztalt Manfreda; ale nie żądza nieograniczona wiedzy ani namiętność go pożera; nie zgrzeszył on tem co Faust nie goni po świecie jak Lara albo Korsarz za pastwą dla swoich chuci: jest on nieszczęśliwym bo jest Polakiem; jest nieszczęśliwym bo nie widzi moralnej przyczyny bytu swojej ojczyzny; bo w filozofji znalazł tylko apoteozę sił, które kraj jego zgubiły. Taka myśl miała odkryć się

zupełnie dopiero na końcu poematu, ale przebija się ona już od początku.

Wacław żyjąc samotnie na wsi, rzadko daje się widzieć przestrasza tylko swoich włościan kiedy w czarnym ubiorze konno przebiega okolice. Jednego razu, w dzień posępny i uroczysty wielkiego piątku zaszedł on do kościoła. Wszyscy nakoniec powychodzili i zdawało się że już nie było nikogo w kościele, przecież ktoś jeszcze westchnął, może grzesznik jaki z żalu i kłopotu został jeden by dłużej opłakiwać mękę. Wtem nadszedł ksiądz, ukląkł, o-tworzył książkę, i śpiewał odrętwiałym głosem.

Młody człowiek, blady na twarzy, w czarny płaszcz owinięty, zbliża się do księdza; następna między nimi rozmowa jest z jednej strony gwałtownem nastawianiem na religję, z drugiej exortą. Ale trzeba uważać zkąd pochodzi ta zawziętość młodzieńca przeciw religji chrześcijańskiej, czyli raczej przeciw katolicyzmowi, przeciw księżom. Zapytuje on co zrobili ze słowem wcielonym. Trzeba przytem pamiętać że ilekroć poeci i filozofowie polscy, a mianowicie Garczyński używają wyrazów i *duch*, *duśza*, *gienjusz*, wyrazy te mają u nich znaczenie słowiańskie; *ducha*, *duśzę*, *gienjusz*, należy uważać nie za co innego tylko za człowieka niewidomego, który mieszka w ciele, nie dzieląc go na osobne władze, ale tak rozumiejąc jak lud kiedy mówi o duchach pokazujących się ludziom.

Oto jest założenie całego poematu : w imie uczuć szlachetnych i wzniosłych, w imie miłości rodu ludzkiego, młody Polak powstaje przeciw obróceniu chrystjanizmu w to, czem go duchowieństwo uczyniło; narzeka na suchy, martwy, logiczny wykład nauki Chrystusa; woła o jej rozwinięcie, zastosowanie; tem chce zbawić swój naród i ludzkość, a znajdując opór w księżach ciska na nich klątwę. Zobaczymy poniżej, jaką drogą ten gienjusz wróci do Chrystjanizmu i kościoła. Ten nieszczęśliwy młodzieniec, obmierziwszy świat, czując wstręt do religji, której tłumaczenie widzi być kłamliwem, i do filozofji która nie zaspokaja potrzeb jego duchowych, zmuszony jest wejść w siebie samego, znaleźć punkt oparcia się w sobie samym. Odzywa się więc do swojego jestestwa tajemnego, które jako wpływ Boga powinno wiedzieć eoś o przeznaczeniu ludzkim, powiada że to jestestwo, ten człowiek wewnętrzny poruszony, wywołany, nauczy jak rozwiązać

zagadkę losów ludzkości i gdzie znaleźć siłę. Ta myśl jest zasadą poematu Garczyńskiego i razem kamieniem węgielnym filozofji słowiańskiej.

Niedawno w jednej ze sławnych szkół paryzkich, wymowny nauczyciel poświęcił wiele godzin na opisanie *gienjusz*, *rozumu*, *dowcipu*, i wytknięcie jak częstokroć ludzie tych wielkich władz nadużywają. Książki filozoficzne pełne są definicji tego rodzaju: połowa dzieł Hegla na przykład, jest nieczem więcej tylko ciągiem określeń władz umysłowych człowieka. Nie prościejże byłoby przyjąć teorię, albo raczej naczelną prawdę filozofji słowiańskiej. Jak nawet wytłumaczyć sobie inaczej zjawisko ludzi gienjalnych? krzyczą na tych ludzi, starają się zapobiegać, żeby ludzkość nie dała się im uwieść w zboczenia, w które tyle razy ją powiedli; ale obok tego zapytują, zkąd się oni biorą, dla czego są obdarzeni gienjuszem, czemu insi go nie mają, jakim sposobem można go nabyć lub mając utracić? Nikt nie może odpowiedzieć na to, a tymczasem wszyscy wielbią ludzi gienjalnych, pomiatają niegienjalnymi, i to jest cały sens moralny filozofji. Pojęcie Słowian w tej mierze, zgadza się z tradycjami rodu ludzkiego. Przypuszczają oni, co i starożytni utrzymywali, że każdy człowiek ma swój gienjusz uwięziony w organizacji a całą różnicę między ludźmi, stanowi różny stopień wyrobienia się tego gienjusza.

Weźmy za przykład liszkę, jakiego owada, gąsienicę motyla, do której wszyscy filozofowie, wszyscy poci starożytności porównywali duszę ludzką. Jedne z tych gąsienic szukają jeszcze liścia żeby się na nim zasklepić, drugie śpią w poczwarcie obumarłej, u innych można dojrzeć drganie skrzydeł, a niektóre już stają się motylami, wzlatują ku niebu. Podobnież duchy człowiecze, jedne że się jeszcze nie wyrobiły, nie doszły do umiejętności najpotrzebniejszej ze wszystkich, do umiejętności wyzwolenia się od ciała, są w stanie zwierzęcym, nie mogą wyrwać się z powłoki i lecieć; drugie już swobodne, prawdziwe motyle, przemykają w pośród nas jak meteory dziwiąc słowami i czynem. Tę prawdę starożytni wyrażali kładąc na czole Psychy, to jest duszy najzupełniej wyzwolonej, motyla jako emblemat jej wolności. W tej myśli także trzeba rozumieć poemat Garczyńskiego; powiada on, że gdybyśmy wyzwolili naszego ducha, znaleźlibyśmy siłę, mądrość i potęgę.

W odzie, którą niby bohater poematu do swego geniusza napisał, Garczyński powiada że serca wzniosłego dowodem jest myśl wysoka, że ta myśl co ma serce wzniosłe za podstawę, tworzy czyny potężne, że prorocy łącząc wiedzę z przeczuciem dają świadectwo myśli, a nawzajem czas im przyświadcza. Wszystko więc ma początek w sercu. Dawno już jeden autor francuzki napisał że wielkie myśli z serca pochodzą, ale tu cały system filozoficzny jest oparty na sercu. Serce nie znaczy nic innego jak tylko siedlisko ducha, pokrywą człowieka wewnętrznego. Poeci sławiańscy ciągle mówią o sercu, a unikają w ten sposób mówić o głowie, bo głowa powszechnie uważaną jest za siedlisko intelligencji, intelligencja zaś i duch nie są dla nich tą samą rzeczą. Z ducha tedy wynika myśl, z tego ducha przez usta proroków płynie prawda która opanuje wieczność.

Widzieliśmy bohatera poematu Garczyńskiego w otwartej wojnie z Kościołem reprezentowanym przez duchowieństwo. Pragnął on gorąco aby słowo które ciałem się stało panowało na ziemi, a to pragnienie zawiedzione obudziło w jego duszy nienawiść ku wszystkim formom religijnym. Później filozof ten z tą samą odwagą z jaką rozdarł zasłonę świątyni, poczyną zgłębiać tajemnice umiejętności, i spostrzegłszy czczość nauk, nicość systemów filozoficznych, cofa się z przestachem. Porwany zapędem własnej głowy, widzi że wpadł w zamęt, w prawdziwe obłąkanie, i nie może powstrzymać rozbujanego rozumu, aż nakoniec poznaje, że rozum i intelligencja nie jest dusza; wtenczas zgodnie z poezją i filozofią narodową, władzy tej naznacza właściwe miejsce i nikt lepiej nie wyraził jakim niebezpieczeństwem grozi przewaga rozumu. Podług niego szatan to rozum potężny, który pożera duszę, a gdy jej nieśmiertelność zostanie w drobnej tylko iskierce, wtedy przygasa i nieszczęśliwa, sama napada na wszystko co ma życie i niszczy stworzenie.

Do takiego tedy przyszedłszy wypadku, kiedy w naukach nie znajduje rozwiązania tajemnicy przyczyny i celu bytu człowieka, odrzaca precz nauki i książki. Ale nie dość na tem, uniesiony gniewem brnie dalej, puszcza się we wszystkie sofizma, ma zerwać węzeł rodziny, korcha się w rodzonej siostrze, usprawiedliwienie tej miłości kazirodzkiej pokazuje w Biblii, z rzadkim talentem tłu-

maczy ją podług historii naturalnej roślin, słowem idzie już prosto do występku, wypowiada wojnę społeczeństwu, staje się ofiarą złego.

Cóż go teraz uratuje? czy umiejętność, która zdaniem niektórych filozofów prowadzi człowieka do religji? Uczył się on wszystkiego, zwiedził najstawniejsze szkoły filozofji, i stracił tam resztę wiary. Czy praktyka religijna? Odrzucił ją, powziął ku niej gwałtowną nienawiść, że oddając cześć *dobremu*, cały świat zostawuje w ręku *złego*. Będzie więc taki jego koniec jak Manfreda albo Fausta? Nie — Oto z ziemnych i czczych wysokości rozumowych wpadłszy niespodzianie pomiędzy lud polski, raz pierwszy dopiero trafił na prawdę. W charakterze, w uczuciach ojczystych swego narodu, postrzegł znak istotnego życia, a życie nie może mieć istotnego źródła jak prawdę. Sledźmy to życie, przyjdziemy do prawdy, przez prawdę do Boga.

Scena w której poeta opisuje pierwsze znalezienie się młodego filozofa wśród ludu, jest jedną z najpiękniejszych i najoryginalniejszych w poemacie.

Właśnie kiedy pasował się z sobą w swoim gabinecie, doleciał go z pola daleki śpiew włościan, wieczorem w święto Wielkiej Nocy idących do karczmy. Śpiew ten sprawił na nim dziwne rozdrażnienie. Zatrasnął okno, wybiegł z dworu i uboczną drogą poszedł za wesołą drużyną. Karczma będzie teraz dla niego przysionkiem do nowej szkoły filozoficznej. W izbie hałas, śmiech, muzyka, tańce, zwady i zabawy; stojąc pod oknem słuchał i naprzód to gniewał się, to zazdrościł, potem chciał sobie wytłumaczyć szczęście prostaczków. « Oni się bawią, mówił, acz szczęśliwi i spokojni, bo świat w ich duszy ciasny jak ich codzienne potrzeby. » Wtem zawołano na skrzypka żeby zagrał tańca « Kościuszki! » odezwał się jeden « Dąbrowskiego! » krzyknęli i inni; wszyscy narazie powtórzyli Kościuszki.

Filozof nasz widział dotąd tylko niesforną kupę ludzi zgromadzonych dla zabawy, dla przepędzenia czasu; ale teraz nagle jedna myśl cały tłum ogarnęła, myśl wspólna wszystkim i pewnie mająca w sobie żywioł mocny, bo od razu przecięła wszystkie popędy żywiości pojedynczych. Muzyka ta jednym wspomnieniem uderzając duszę Wacława jakby laską czarodziejską, obudziła ją z letargu, myślom, uczuciom, dała ciało i życie. Podobny do tań-

czącego chwycił się tej wiotkiej nici, co mu teraz była sznurem podanym z brzegu, promykiem nadziei rzuconym z przeszłości. Ożył na nowo.

« Tak słowo w dobrej ludziorz powiedziane chwili
« Jak trąba archaniół stworzy ich czem byli. »

Te dwa wierszyki są precudne. Żeby je zrozumieć przypomnijmy sobie, cośmy powiedzieli o moralnem rozwijaniu się ludzi. Co jest stworzyć człowieka, rozwinąć jego zdolności, jego genjusz? Jest to dopomódz mu do zerwania więzów organizacji. Ma on zawsze stopień rozwinięcia się do którego przyszedł, ale częstokroć temu motylowi w poczwarcie nie staje sił skruszyć swoją skorupę. Natenczas drugi, bardziej rozwinięty genjusz przychodzi mu w pomoc: wpływem swoim, ciepłem ze swego ogniska dodaje siły duchowi uwiezionemu, dopomaga mu do wyzwolenia się z powłoki, i tym sposobem wykonywa czyn twórczy.

Temu człowiekowi co już nakoniec w nie nie wierzył, prawie zaparł się Boga, odrzucił wszystkie prawdy moralne, Bóg ukazuje się znowu w największym z dzieł swoich, w narodowości. Myśl, że jedna narodowość pośród słowianstwa, nosi na sobie znamie szczególne, posłannictwo osobne, i przeto ma dla dusz lepiej rozwiniętych jakiś urok, jakiś pociąg prawdy, bóstwa, tę myśl, albo raczej to uczucie nieraz już wyrazili poeci i prorocy.

Oddziaływanie ziemi przeciw duchowi, to jest oddziaływanie wszystkich interesów, wszystkich dążeń przeszłości i egoizmu przeciw myśli mającej w sobie przyszłość, nazwaliśmy apostazją. Była ona przepowiedziana przez wielu poetów polskich, mianowicie przez Garczyńskiego, pierwszej nim filozofowie pojęli ją jako warunek logiczny rozwijania się życia narodowego.

Przypomnijmy sobie tę scenę gminną, gdzie Garczyński wprowadził bohatera swego poematu, aby służyła za naukę moralną filozofowi. Widzieliśmy jak koło jednej nuty, koło jednej pieśni narodowej, zgromadził się rozmaity zbiór ludu. Na chwilę lud ten połączony uczuciem, sercem, duchem, był gotów powstać jak jeden człowiek. Młody filozof zadumany pod oknem, cieszył się że znalazł tajemnicę przyszłości, że trafił na źródło z kąd może wypłynąć ta siła co jednoczy, co ożywia. Scena kończy się apostazją, oddziaływaniem.

Wszedł do karczmy jakiś człowiek obcy i żądał gospo-

dy. Był to Polak wynarodowiony. Widząc w towarzystwie natchnienie świętego zapалу, nie śmie stawić się wprost przeciw niemu, ale nieznacznie miesza się do zabawy, rzuca od czasu do czasu żartobliwe słówka, zdobywa się na dowcip, ducha swego przybiera w tę najniższą i najpospolitszą formę, która obudza podziwienie gawiedzi. Tym sposobem umorzywszy wzruszenie wzrosłe, rozdziela gromadę na dwie połowy, stara się oderwać młodzież od starców, prawi jednym smalone duby, śmieje się ze zbytycznej roztropności drugich, zachęca do hulanki i picia. Wszyscy cisną się do niego, otaczają go, radzi że się znalazł między nimi, pytają zkąd przybył. On im na to odpowiada że tam ojczyzna gdzie dobrze, i w jednej zwrotce streszcza filozofią materializmu. Chłopcy uderzeni skreślonym obrazem, zapytują czy jest gdzie na świecie kraj taki.

Dla rozwinięcia swej myśli, opowiada bajkę o szczurze, który przebrawszy się za proboszcza, kazał swoim współtowarzyszom bić ogonami w dzwony, zwołał katolików na mszę, i lud naznosił mu ofiar. Powieść ta zrazu naraobiła śmiechu, ale wkrótce tknęło wszystkich, że jest w tem jakiś podstęp. Obudziła się nieufność bo każde wyrażenie tej poezji chociaż gminne było obmyślane, dobrane: poznano przychodnia z Brandeburgji, ze *Zgorzelicy*, jak ją zowią Polacy, z ziemi spalonej. Starcy postrzegli się naprzód że godząc na religję ich kraju, chciał wysuszyć ostatnie źródło narodowości, poczęli krzyczeć, zwyczajnie jak starcy — po czasie. Natychmiast jednak cała gromada oburzyła się na cudzoziemca i zmusiła go do ucieczki.

Scena ta najmocniej ze wszystkich uderzyła młodego filozofa, Zobaczył on w rozprawiającym bałamucie istotną karykaturę samego siebie, poznał że ten chłop przestrojony, zupełnie to samo robił w niskim zakresie swojego działania, co on w sferze metafizyki i filozofji, zaprzeczając wszystkiemu, tłumacząc wszystko przez formuły filozoficzne. Postrzegł więc nad jaką stał przepaścią, i przejęty wstydem, boleścią i zgrozą chciał się rzucić na zwoziciela, ale już go nie było.

Apostazja i materializm ukazują się tu pod postacią gminną; poeta nasz spotka je i przedstawi później we wszystkich kształtach. Scena w karczmie, bezwątpienia piękniejsza i głębsza od podobnej karczemnej sceny w

Fauście : daje do myślenia młodemu filozofowi odmienia go zupełnie. Odstępuje on swoich teorji niemoralnych, porzuca książki, przedsięwzięcie poprawę; ale postrzega że dotąd tylko marzył i rozprawiał, a widzi że trzeba działać, że w czynie tylko można znaleźć rozwiązanie problemu : udaje się więc do Warszawy, poczyną konspirować i wchodzi do związku, który podczas koronacji Mikołaja w 1829 roku zamyślał całą ródzinę Carską zgładzić.

Dopiero wśród narad w kole spiskowych, po raz drugi spotyka się z dziwnym nieznajomym, który już jako polityk i statysta zabiera głos żeby sparaliżować popęd patrijotyczny. Sposobem historyka roztrząsając bieg dziejów narodowych, wyklada naturalne i konieczne przyczyny osłabienia Polski, stara się przekonać że niepodobna chcieć naprawić od razu co się psuło przez wiele wieków, z powagą męża stanu kreśli stan Europy, tłumaczy dla czego Polacy nie powinni liczyć na pomoc obcą, to jest na pomoc Francji; nakoniec jak stłumił zapal kmiotków, tak tutaj gasi entuzjazm spiskowych.

Po raz trzeci gdzie indziej, tajemniczy ten człowiek występuje w charakterze teozofa i badacza skrytości świata duchowego. Tu usiłuje on zniszczyć źródło pojęć religijnych, wymierza cios na wiarę i nadzieję w przyszłość Polski. Jak niegdyś Kusiciel ukazywał Zbawicielowi królestwa i powaby ziemi, tak teraz ów nieznajomy odbywa z Wacławem podróż fantastyczną i odsłania mu różne obrazy. Przeniosłszy go naprzód do pałacu jednego z panów polskich, dobrego patrijoty ale dumnego, daje go widzieć nieubłaganym ojcem przy łożu śmiertelnem córki, której nie pozwolił pójść za ubogiego kochanka, i wystawiwszy tę scenę w okropnych a prawdziwych kolorach, zapytuje czy taki człowiek może walczyć dla zaprowadzenia równości. W innym obrazie odkrywa świetną biesiadę, gdzie dygnitarze polscy łamią sobie głowy nad subtelnościami artykułów konstytucji, a jenerałowie ściśle starają się odcieniować punkt honoru wojskowego. Ci ludzie tak zajęci rozbieraniem trupa, to jest formuły martwej, będąż zdolni do zapalu dla sprawy, która daje się pojąć tylko uczuciem? Słowem, podobny do szczura grobowego, jak poeta mówi o nim, stara się on wdążyć się w piersi młodego entuzjasty, żeby mu wydrzeć ducha. Ma on na celu przeszkodzić mu nie dumać, nie rozumować i nie działać.

Otóż jest myśl stanowiąca zadanie całego poematu, o której namieniliśmy: zależy ona na tem, że sam tylko czyn może rozwiązać problema. Wielki i piękny ten poemat został niedokończony; na dalszych kartach autor miał ukazać nieprzyjaciela entuzjazmu uciekającego się przeciw niemu do ostatniego sposobu, do gwałtu.

Garczyński pierwszy z poetów polskich, obwieszcza się być powołanym do przeznaczenia otrzymanego z nieba. Nie pisze on jako artysta-rytmotwórcy, literat, ale jako rozpoczynający walkę. Dla tego to opowiada obszernie koleje swego życia, sny swojej matki. Bynajmniej nie idzie mu o zajęcie publiczności swoją osobą, znika sam zupełnie ze sceny, chce tylko okazać że jedynie ludzie naznaczeni szczególnem posłannictwem, mogą pracować dla wielkiej sprawy.

Poeta zniszczyłby cały urok, całą poezję, zrobiłby tylko zimną alegorię, gdyby obszernie ten sens wykladał; poemat jego służy za komentarz. Filozofja hołdująca materializmowi i sile ziemskiej, jest tym orłem, którego także wzięli sobie za godło nieprzyjaciele Polski. Poezja i zapał powołane do walki z nim własną bronią, mają mu zadać cios śmiertelny. Stefan Garczyński przepowiedział razem i swoją przyszłość: umarł on walcząc, mordując się nad zagadką której rozwiązania nikt nie miał. Zagadką tą było pogodzić entuzjazm z rozumem; ten entuzjazm co tworzy nadzieje, co goni za przyszłością, z tym rozumem co wiecznie te nadzieje roztrąca, co wszystko kępuje w obecność; którego żrenica kiedy zwróci się na ognisko uczuć żeby je zbadać, zciemnia się i łzę zabiega jako oko patrzące na słońce. Za warunek tej zgody położył on rozwinięcie wielkiej narodowości; bo narodowość jest czemś rzeczywistym, materialnem, bytem swoim odpowiada nawet wymaganiom filozofji, a że razem nie może żyć i działać bez entuzjazmu, więc skoroby taka narodowość ustalona, stała się pojętą i zrozumianą, rozstrzygnęłaby spór między uczuciem a myślą. Jest to ostatnie słowo Garczyńskiego; ze wszystkich poetów o których mówiliśmy, Garczyński jest najbardziej polskim.

ADAM MICKIEWICZ.

(*Literatura Słowiańska,*
Lekcje 17, 21 i 28 czerwca 1842 r.)

CZĘŚĆ PIERWSZA

WACŁAWA MŁODOŚĆ.

Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca,
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca!

ADAM MICKIEWICZ,



I.

WIELKI PIĄTEK.

Mileżą dzwony pobożne wieżycy wysokiej,
Jak usta skąpe w słowa, gdy myśl śród pamiątek.
W strojny grób już złożono Zbawiciela zwłoki;
Lud bieży grób odwiedzić — święcie wielki piątek.

Smutno w kościele było — okna kirem czarnym
I ściany i obrazy zasłoniono kirem;
Ciche modły do koła — ten westchnieniem szczerem,
Łzą skruchy, albo datkiem kupuje ofiarnym
Przebaczenie za grzechy u świętego grobu;
Ten ufny że Bóg wznosi kiedy się uniżem,
Ustami proch całując, rozpostarł się krzyżem:
Kiedy krzyż dźwigać w życiu nie widział sposobu.
U ołtarza w zakonne odziani kapice,
W dwóch rzędach, zasepionych mnichów stoją chóry,
Przed nimi świec dwanaście, i palą się świece,
Słychać hymny żałobne za zwykle nieszpory.

Z hymnami nikną światła — w kościele mniej jasno —
Świece jedna za drugą, po kolei gasną,
Lud czeka — już zgaszono — już ciemno się stało —
Jedyna lampa błyszczy na grobowe ciało.
Zapukano — czas wyjścia — lud tłumnie wychodzi —
I księża się ruszyli — i w komżach dwaj młodzi

Przodem księgi wynoszą — a rzędem za niemi
Sandaly mnichów słychać jak biją po ziemi.

Wyszli wszyscy — w kościele samotnie i głucho.
Czasem tylko u góry świergocące ptaki
Uderzą skrzydłem w okna, szukając wylotu;
Cicho i ciemno — przecież bardzo czułe ucho
Mogłoby więcej przejąć — ktoś westchnął — kto taki?
Nie wiedzieć — może grzesznik z żalu i kłopotu
Został jeden, by dłużej opłakiwać mękę;
Może — ktoś idzie — to ksiądz — on jego dostrzeże —
Ale cóż mu westchnienie — uklęknął przy grobie,
Głowę schylił, pod ramię kładzie prawą rękę.
Wydobył książkę — rozwarł — przemówił pacierze —
Znow się schylił, nabożnie składa ręce obie,
I odrętwiałym głosem tak śpiewa przy grobie :

A gdy na krzyż przybili — sługi wszystkie w tej chwili
Suknie pana porwali z pośpiechem,
I dział każdy chce stroju — czy przez zgodę, czy w boju
Bo to u nich zabijać nie grzechem.
Ale płaszcz tam był pana, jakby chusta utkana,
Bo nietknięty ni igłą, ni nożem;
Więc mówili do siebie : by go nie psuć w potrzebie
Losy w koło na niego rozłożym,
I co rzekli to było — bo tak pismo mówiło :
Suknie łotrów rozszarpia mi zgraje,
Ale na płaszcz los padnie, jeden tylko płaszcz skradnie.
A tak dzisiaj to wszystko się staje.

Śmiech jakiś niespodziany — gwałtowny i dziki
Przerwał śpiewy pobożne — ksiądz schwycił krzyżyki
U różańca wiszące przy habita sznurze,
Schwycił, i głowę swoją zaslonił w kapturze.
Aż w końcu śmielszy w myśli, jak dowódca, który
Nim bój zacznie, szkłem zmierzy szyki nieprzyjaciół,
Spojrzał — i w znaku krzyża dłoń wznosząc do góry,
Już mówić jakieś słowa tajemnicze zaczął,
Gdy widzi, — gdy poznaje człowieka, w kształt głazu
Stojącego opodal jak marmur smętarzy;
Czarny płaszcz wisiał na nim — blady był na twarzy,
Zdawał się być bez ruchu — czucia — i wyrazu.
« Kto jesteś — mnich zawołał — czy cię złe obsiadło,

« Człowieku! że chcesz wicherzyć spokojność klasztoru?
 « Milczysz — jeśliś nie żywy — jeżeliś widziadło
 « Jest przedemną i w ciele tajny duch potwora,
 « Mam sposób — bicz na ciebie — czy znasz godło krzyża?»
 « Znam — krzyknął nieznajomy — wielka to obrona! »
 Rozśmiał się, i tym śmiechem, jak głąz Pigmaliona
 Całowaniem ożywion — do księdza się zbliża —
 Czarny płaszcz swój zarzucił z ramienia na ramię,
 Z pod brwi, choć jasne oko, wypadł wzrok ponury,
 I rumieniec gwałtowny, chorych myśli znamię,
 Błysnął w twarzy, jak wstęga piorunu w mgle chmury.

KSIAŁDZ. *poznając nieznajomego.*

To ty młodzieńcze tutaj?

MŁODZIEŃCZ.

Krzycz — żegnaj — przeklinaj
 Duch stoi — jako waszych kościołów wieżyce,
 Choć deszcz leje — grzmia nieba — palą błyskawice,
 One stoją — nuż śmiało egzorcyzm zaczynaj.
 Tylko pomnij że płaszcz mnie słów więcej nie mam,
 Że choćbyś drgał językiem, jak wicher potokiem,
 Jam zawczasu ten potok zbadał myśli okiem,
 I płaszcz twój czarodziejski zdał myśli zębami.
 Że żartuję —

KSIAŁDZ.

Młodzieńcze! nie bluźń nadaremnie.
 Takież to odebrałeś nauki odemnie,
 Na tożem cię wychował, ażebyś w kościele,
 W dzień dzisiejszy, przy grobie Zbawiciela świata,
 Bluźnił wiarę najświętszą?

MŁODZIEŃCZ.

Poznaj się w twem dziele!
 (*Z irónją.*) Tyś mój mistrz!

KSIAŁDZ.

Sluchaj tedy — burzliwe są lata
 Młodości — wiele ludzi na zawsze w nich ginie,
 Jam to wiedział — jam ciebie chcąc zbawić jedynie,
 Chcąc ratować —

MŁODZIEŃCZ. *przerywając z zapalem.*

Na zawsze zgubił bez ochyby.
 Tłało we mnie przecucie wolności szlachetnej,
 I mocne miałem ramię i do czynów dzielność;
 Tyś mi odgadł mą duszę — miałem w myślach szyby
 Do przejrzenia — tyś przejrzał i jak dąb stuletni

Upadkiem strzaska drzewka — Bogaś nieśmiertelność
 Spuścił na mnie, na duszę, myśl strzaskał ogromem :
 Wzgardziłem tem co dawniej w oczach stało bóstwem,
 Ojczyzną i miłością, przyjaźnią i domem,
 Otoczyłem się waszą pokorą, ubóstwem;
 Jam wiarą waszą świętą jak tarczą się składał —
 I cóż stąd? jam nareszcie wiarę i was zbadał.
 Chcecie, pokory suknie zawdziawszy na pychę,
 Zamieniając pałace na ustronia ciche,
 W duszy gmachach zarządzać — i chatą i tronem;
 Mieszkańców jak ptaków łapiąc w szpon sokoli,
 Sami zimni — bez serca — męczyć, gryźć dowoli?
 Chcecie, martwi — spokojni jak klasztoru ściany,
 Na czas nieczuli, jako na pył śmierci wianek,
 Patrzeć zimnawo na łzy, gdy kto łzami złany,
 Albo gdy ginie człowiek — wolny lud — kochanek? —
 Wam wolność, miłość niczem — płakać nie myślicie.
 Ileż razy wam w duszy złorzeczyłem skrycie!
 Wyrwałem się na koniec! — lecz czarowne słowo
 Wiary waszej i kłatwy i modlitw i sztuki,
 Wisiało, jak na włosie miecz, nad moją głową.
 Drżałem żeby nie upadł! — dziś czas — dziś nauki —
 O! dzisiaj już inaczej — rozumiem was mnichy —
 Dzisiaj — żarty to żarty — wszystkich was zbadałem
 W głos pytam : gdzie jest słowo co się stało ciałem?
 W głos krzyczę : wiara wasza jest to dziecko pychy.

KSIADZ.

Panie, odpuść mu, bo on sam nie wie co robi.

MŁODZIENIEC.

Tyś rzekł, tylko za mało! Panie : serce dobij,
 Którem tak ciężko zranił : oto treść modlitwy.
 Wy mnichy, wy myślicie, że choroby, bitwy
 Tylko człowieka gubią!

KSIADZ.

Na krzyżu rozpięty,
 Natchnij go mocą swoją, i przywróć mu zmysły!

MŁODZIENIEC, *patrzac na grób.*

Jezus Chrystus — znak krzyża — znak ofiar — znak święty!
 (*Z uniesieniem.*)

Czemuż krwi twojej krople na ludzi nie przysły,
 I mózgów im nie spala wieczystem zażewiem?
 Ot twój sługa — tyś cierpiał, jak żaden z śmiertelnych,
 A ten śmierć twoją święci w kantyczkach kościelnych,

I żyje, i szczęśliwy — spokojny — jak nie wiem
Żadnego szczęśliwszego!

KSIAŁDZ.

Grzesznicy my prawda,
I bardzo grzeszni ludzie — lecz za to pokora —

MŁODZIENIEC.

Jutrem odkupujecie grzechy wasze z wczora.

(*Udając głos księdza.*)

A dziś do was należy : grzesznicy my prawda!

KSIAŁDZ.

Nie bluźń, nie bluźń młodzieńcze — któż ogród potępi,
Dla tego że w nim drzewo spruchniałe lub chore?

MŁODZIENIEC.

Kto dom przeklnie, ja pytam, gdy dom z wszystkim zgore,
Albo sępów, gdy z głodu : siebie pożrą sępi?

Ot słuchaj — dom ten dusza — tyś podłożył ognie;

Ot słuchaj — sępem człowiek — kiedy w duszy świta!

A obca przemoc — wiara — myśli, jak jelita

Wydzierając mu z głowy, głowę w proch mu dognie.

Cóż za dziw, jeśli biedny człowiek przy upadku,

Widząc i sił zniszczenie, i niemoc swych chęci —

Jeśli cierpiąc, tysiące w koło męczeństw wkręci,

Albo wzniosłszy kark nad was, plunie na ostatku.

KSIAŁDZ.

Szalony, milcz na Boga!

MŁODZIENIEC.

* Milczyć? toć milczałem :

Długo i bardzo długo — dziś mówić przychodzi.

Dziś krzyczeć będę, słyszysz, krzyczeć gardłem całym!

Checiałbym po słów mych fali, na myśli mych łodzi,

Z duszą moją żeglować i wpędzać się w dusze.

Niechajby moja mowa, jako bystra rzeka,

Wszystkie strumienie myśli korytem swem zlała!

I zleje — bo ja myśleć — bo ja mówić muszę.

Słuchaj, z duszą mą wpadnę w głąb serca człowieka,

I jak szkło młota gromem, wiara pryśnie cała.

Mówić mu chcę wolności świętymi słowami,

Mówić mu chcę niemowląt — nieszczęśliwych łzami,

Krzyczyć nad nim, jak matka nad śmiercią dziecięcia,

Gdy je z pod piersi matce, wyrwie ptak straszliwy;

Zaklnę go na najświętsze uczucia zaklęcia,

Na śmierć ojca, na przodków szereg nieszczęśliwy.

Niech wszystkiemu zawierzy — wam jednym nie wierzy!

Bo wy słudzy nikeżemni, zamiast Boga słudzy,
 Wy, kiedy ludzie giną, męczeni są drudzy —
 Wy, jakby to nie ludzkie trafiało przygody,
 Choćbyście jednem słowem krwi wstrzymali strugi,
 Patrzącie zimnem okiem jak giną narody,
 Ledwie trupom oddając ostatnie przysługi.
 Toż więc jest wiara wasza? na to macie władzę,
 Aby cnót się wyrzekłszy, dawać przykład zbrodni?
 Nikeżemni ludzie! boskich przydomków niegodni!
 Od mleka matki waszej ziemi was odsadzę,
 Kiedy litości ziemskiej, cnót w sercu nie macie.
 Wyprą się was rodzice, jak wy się wyparli,
 I siostry, przyjaciele, i brat was po bracie
 Kłąć będzie, i tam z grobu powstaną umarli,
 I kłąć będą, i wołać o zemstę wszechwładną —
 I głowy wasze w końcu pod żelazem padną,
 A wiara . . .

KSIĄDZ.

Stój! nie więcej!! —

Zegar bił w tej chwili

I na hymny wieczorne księży nadchodzili.

Twarz swoją nieznajomy płaszczem więc osłonił,
 Coś jeszcze prędko wyrzekł, zwrócił się z pośpiechem,
 Idzie — krok nagli — śpieszy — nim zegar wydzwonił,
 Trzask drzwi mocnem się odbił o sklepienie echem.

II.

POWRÓT Z KOŚCIOŁA.

Zachód się blaskiem purpurowym pali,
 Jako żar węgla, chmury błyszczą w dali,
 Już słońca nie ma — po dziennych mozołach,
 Wieśniak znużony powraca do domu;
 Jest co zastawić, jest usłużyć komu,
 W chatce ma żonę, dostatek w stodołach.
 Szczęśliwi ludzie zagrody ubogiej!
 Macie skarb wielki, nie żądając więcej.
 Cóż, że na palcu błyszczy kamień drogi,
 Że skrzynie ciężkie krociami tysięcy,
 Kiedy myśl, dusza w ustawicznej wojnie?
 Wam dni i noce mijają spokojnie :
 Nie cheiwi sławy, nauk nie żądliwi,

Zdala od świata życie szczęśliwi!
Lecz co za tentent — patrz — krzyknęły dzieci,
Że jakiś czarny jeździec przez wieś leci.
To on — pan młody — wybiegają z chaty
Widzieć go; bo on rzadko jest widziany.
Na czarnym koniu, sam czarno ubrany
W cwał leciał, dziko rozpuściwszy szaty —
Płaszcz jego czarny, jako skrzydło ptaka
Wiatr pod się chwycił — a piana rumaka,
Pęd jego nagły, nozdrza rozognione,
I jeźdca oczy na dół pochylone,
Że wracał gniewny i śpiesznie, świadczyły.
Przeleciał wioskę — drogą tylko pyły
W kłęby się wznosząc z piasku ciemnej chmury,
Długo wisiały jak orle pazury,
Nim ptak drapieżny ciała swego brzemię,
Znużony wiatrem, opuści na ziemię.

Tak uczą gminnych poetów ballady,
Że w dzień zaduszny o północnej porze
Duch świeżo zmarłych z wysoka zejść może,
I dzielić z ludem zastawne biesiady.
W chmurnym on mówią, z nieba ciągnie dymie,
Z gęby żar ognia płomieniem wybłyska,
A czyje najprzód wywoła on imię,
I czyje najprzód wywoła nazwiska,
Tym lub przekleństwo, albo śmierć jest bliska.

III.

SNY PROROCZE.

Śpią wszyscy — w całej wiosce milczenie grobowe —
Jeden jest tylko człowiek, który spać nie może.
Oczy jego biegają, niby czujne stróże,
Dzikich marzeń, które mu zawichrzyły głowę.
Myśli jako, na wieki potępione więźnie!
Gdy wioska cała w miękkim spoczynku zagręźnie,
I sen, jak chmury niebo, zasłania powieki:
Podróżny go spotyka u spienionej rzeki,
Leżącego na brzegu; albo też u wzgórza,
Gdzie rozpadlin bez liku, bystrej wody ścieki,
On się w bystrzejszych myślach — dumaniach zanurza.

Wacław jest imię jego — lecz ojców nazwisko,
I herbów rzędy zwykłe milczeniem pominię.
Z przodków wslawionych może od trzech wieków blisko,
Nie jeden za brzeg Elby, za Dniepr i za Dźwinę,
Dotrzymując orężem, obcym był znajomy;
Nie jeden w radzie siedział i sławnym był w radach.
Wiele mówić o jego dziadach i pradziadach;
Jednem słowem : Wacława wielkie rodzą domy.

Czyny z ducha wynikną — ale i krwi związki
Pokoleniem tajemnie zarzekają ducha.
I jako kiedy dębu spadnie gałąź sucha,
Z niej pewno nie wyrosną zielone gałązki;
Jak z nocy, choćby trwała czasy nieskończone.
Światło nie błysnie, ani gwiazda się zapali;
Jak z struny, choćbyś długo w jedną brząkał strunę,
Głos nie wyjdzie dźwięczący harmonijnej skali;
Tak człowieka duch, myśli, czyny, przewinienia,
Są dźwiękiem różnych śpiewów, pieśni tajemniczej,
Którą długo tworzyły całe pokolenia,
Którą echem tajemnem, późny wnuk dziedziczy.

O syna dziwnych losach, sny porocze wcześniej
Ostrzegały Wacława matkę przed pójściem.
Widziała chmury, niby czarne byki we śnie,
Co rycząc jako gromy, błysk ciskając rogiem,
Uderzały na siebie — i jak morze w burzy,
To raz piętrząc swe wody, okręt w niebo miecie,
To znowu przyczajone, na splaszczone grzbiecie
Okręt aż do mielizny, w piasku dna zanurzy,
Tak one rogi swoje raz wspięły wysoko,
Aby ich żadne ludzkie nie mogło dojść oko;
To znowu karki niżąc, ostrym zębem roga
Z dołu siekąc, prą, goniąc ryczącego wroga;
I nie tak błysk za błyskiem leci w pędzie dzikim,
Jak rogiem najeżonym ścigał byk za bykiem.
Tak jej się we śnie zdało; w tem z góry czy z dołu
Niewiedzieć jakiś nowy olbrzym w szranki bieży;
On jeden pragnie walczyć; zbyć wszystkich pospołu;
Był to człowiek jej znany, z twarzy i odzieży;
Młody, miły, powabny; wielki miecz miał w dłoni,
Jasną zbroję na piersiach, przyłbicę na skroni.
Zaczęła płakać matka, wyciągnęła dłonie

Ku niemu, lecz na próżno — on nie widział matki —
Wyciągnęła ku niebu. — Bóg przyszłe wypadki
Skrzył w zasłonie.

Drugi raz sen był inny — śniła się jej łąka,
Którą zdobiły kwiaty i ptaki i trzody,
Wszystko piękne, piękniejszy jednak pasterz młody,
Siedzi obok kochanki, i na lutni brząka.
Chłodem tęnęło powietrze, słońce błyszczy mile,
Ptaki śpiewem, pasterza powtarzały tony;
Aż nagle wichur zawył — przeciągły motyle
Z wschodu w zachód, i było ich jak myśli tyle,
Różne, kraśne i w wstęgach jak pawie ogony.
Spojrzała na dół matka — gdzieś znikła kochanka,
Pasterz tylko sam jeden błędził po tem polu,
I plół wieniec, lecz zamiast kwiaty brać do wianka,
Brał pokrzywy — chwast — osiet — i liście kąkolu.
Gdy skończył, wieniec włożył sobie sam na czoło,
W rękę strzelbę ognistą piastował za lutnie,
I spoglądał ku niebu dziko i okrutnie,
I na głos śmiać się zaczął — ale nie wesoło,
Rozpaczy jednej tylko takie jest rozśmianie.
Długo czekał — noc przyszła — znów błysło zaranie,
A z nim z chmur jakiś orzeł wyleciał straszliwy,
Szpony nad nim zawiesił, okiem mu był w oko,
Pióra jego groźniejsze były od lwa grzywy,
I olbrzymem się zdawał, choć wisiał wysoko.

Widziała matka walkę — zwarli się zarazem
Jeden groził szponami, a drugi żelazem,
Młodzieniec pierwszy strzelił i krew z orla boku
Prysnęła nawałnicą jako deszcz z obłoku;
I orzeł na dół zleciał, ale swoje pióra
Jak wachlarz rozłożywszy przed obliczem słońca;
Skrzył ziemię czarnym puchem, od końca do końca,
A w głowę dumną wroga wcisnął ostrz pazura.

Takie były sny matki, Wacława proroki.
W sny nie wierzym; lecz często i znaczą nie mało:
Gdy oczy noc zasunie, martwe leży ciało,
A duch zbywszy zmysłowej, ćmiącej go powłoki,
Na granice przyszłości lekkim skrzydłem wzleci,
Okiem twórcy, na wszystkie spojrzy swoje dzieci,

I w zmysłów chmurę znowu obleczonej wcześniej,
Tem okiem i w tej chmury tęczę rzuca we śnie.

Dzień Boga narodzenia był i dniem Wacława.
Później gdy wyrósł chłopiec, czy jego chęć dzika,
Czy myśli religijne, matki snów obawa,
Dały powód — to mniejsza — habit zakonnika
Włożono Wacławowi, zamknięto w klasztorze.
Śród murów rosło dziecię i piękne i choże,
Jako owa roślina co w cieniu dojrzewa,
Gdy inne w słońcu tylko kwitnąć mogą drzewa;
Opuścił klasztor z czasem, nie wiem w jaki sposób,
Chociaż znajomych jemu wiele znałem osób.
On często — później jeszcze — zwyczajnym nałogiem,
Samotny lubił jeździć do klasztoru swego;
Dla czego? nie powiadał nikomu dla czego.
Może lubił samotnie mówić z panem Bogiem,
Może Bóg go natchnieniem czasami obdarza;
Może głośniej przemawia grobowiec cmentarza,
Kościół pusty, szmer liści lub strumienia mruki,
Do serca czującego, duszy skołatanej,
Nad świat pełny — trzask ludzi — książki i nauki.
Bez tehu — blady — w noc późną — i łzami zalany,
Wracał z klasztoru zwykle — wtenczas pióro chwyla,
W oczach jego myśl jakaś dzień zaczyna skryta —
Były to chwile wieszcza, zachwycenta chwile.

Mnie dziennik podpadł jego — na czele dziennika
Czytam wiersz — myśli dumne — pieśń, melodja dzika
Ale silna, zaświadcza o wewnętrznej sile.

O D A

NA CZELE DZIENNIKA WACŁAWA UMIESZCZONA.

Genjusz! ty jeden nie opuść mnie w życiu!
Skrzydłem twem boskiem obwiewaj mą duszę,
A śpiewać będę, i śpiewem poruszę,
Siły tajemne, choć w piekła ukryciu!

Kiedy chmury jak duchy powietrznego gmachu,
W olbrzymich kształtach, odzieniem ciemnoty
Niebo zakryją — zadrży świat w przestrachu,
Niechajmnie wzniosą skrzydeł twych poloty

Tam w chmury czarne —
Pieśń i tam zadźwięczy;
A okiem tęczy,
Chmury w krąg ogarnę!

Genjusz! gdy burza ześle wiatry mściwe
I niebo morzem ognia się zapali,
Chcę jak rumaka schwycić fali grzywę,
I twojem skrzydłem popędzić na fali!

Niechaj nadpowietrzne żagle
Serce moje, duszę wzmogą;
Wiatry zdepcę moją nogą,
I do jarzma wiatry znaglę!

Genjusz! gdy ludzie nąpieni bezwładnie
Od burzy legną, co zmysły ich głuszy,
Śpiew ty mój natchnij! a z duszy
Jak słońce w oko, śpiew mój błyszcząc, wpadnie.

Wszystkie siły wstrząśnie na dnie,
Wstrząśnie cały świat uśpiony,
Jako lutni mojej strony
Kiedy niemi ręka władnie!

Genjusz! ty i piersi natchniesz zemsty pieśnią,
I śpiew mój będzie czuły, jak płacz matki,
Mściwy, jak w piekle zemsty sobie nie śnią,
I ludzie — niebo — staną mu na świadki:

Jako sercu, myśl wysoka,
Jako myśli, czynów dzielność,
Jako czas — pieśniom proroka,
Jako prawdzie — nieśmiertelność!

A gdy przyjdzie godzina, wieszcz słaby zaginie,
Genjusz! ty i śmierci bądź moim aniołem,
Niech życie kończę, jak życie zacząłem,
Życie i śpiew mój, ach w jednej godzinie!

Niech ostatnie głosy moje,
Jak dźwięk lutni w echa brzmieniu,
We śnie miłym tam dostroję,
Tam dosłyszę — w przypomnieniu?

IV.

NAUKI.

Przyjemną była wioska rodzinna Wacława.
 Dworzec ojca mieszkalny, wspaniała wystawa;
 Budowę staroświecką przedrzeźniając wieki,
 Stał na górze opodal wielkiej spławnej rzeki.
 Dwa skrzydła i dwie wieże wyrastały z dworca,
 Z obydwóch wiewał przez dzień biały znak proporca,
 Godło bytności pańskiej — a gdy po zachodzie
 Wiatr, chmury rozpędzając, zatlił blask wieczorny,
 Z obydwóch widzieć było na obłoków spodzie
 Meteorem błyszczący — krzyż wieży klasztornej.
 Klasztor to był fundacji Wacława pradziada,
 Grono ojców wielbnych świętego Bernarda,
 Liczne cele wypełnia i zakon ten składa :
 Znane jest ich ubóstwo i świata pogarda.
 Tamto w dziecinnych latach Wacława zamknięto ;
 Tam — choć kościół daleki — pobożna gromada.
 Ze wsi spieszy obchodzić każde wielkie święto.

Trzeci dzień wielkanocy przemijał z wieczorem,
 W tysięcznym osiemsetnym dziewiętnastym roku.
 Chłopi drogą wracali w posuwistym kroku
 Z niesporów dnia świętego — a w rzece — za dworem
 Prócz trzciny wiatrem kwietnia lekko kołysanej,
 Albo jaskółki rychłej co wodę przelata ;
 Cicho. — Inaczej w dworcu — krzyk wypadł z za ściany,
 Przytłumiony lecz mocny — to jego komnata,
 Jego głos — przecież nikt mu na pomoc nie bieży.
 On pracuje — bo dawno światło w oknie mruga,
 Słysząc ilekroć nogą w posadzkę uderzy,
 Widać przez okno — zdala — jakaś postać długa,
 To cień Wacława — widny w szybach zwierciadlanych
 Jak w przezroczystym niebie ślup tumanów rannych
 Znow głos — woła służących — wierny wchodzi sługa :
 « Ciemno ! nie dosyć światła — czyż na ogniu zbywa ?
 « Zapalić drugą świecę, trzecią świecę, czwartą ! »
 Uciął — ale wzrok podniósł — ową broń wypartą
 Z duszy — która jak gwiazda błyska nieszczęśliwa.
 Zadrzał przelekły sługa, bo choć pan łaskawy,
 Takiego coś ma w mowie, takiego coś w oku,

Że gdy spojrzy, nikt nie śmie dotrzymać mu kroku,
Że gdy mówi, drży sługa jako liść z obawy.

Już w trzech lichtarzach światła zabłysły na stole :
Jemu ciemno — « Niech ogień zagrzmi całą siłą
Tam » na komin pokazał — i w gardle komina,
Świeci — dym się ulatnia w czarnych kłębow kole,
Ogień buchnął, skier tysiąc powiekrze rozcina :
I w pokoju się wszystko razem wyiskrzyło.

Z rozwartych ksiąg na stole, czarnych liter pułki
Wyrzwały, jak z pod śniegu pnie zgorzałych borów,
A z szaf liczne narzędzia, maszyny, ampułki,
Służące do fizycznych, chemicznych rozbiórów,
Raz pierwszy z pleśni kurzu krwawą świecą luną.
Dwa tylko twory inne — czaszka martwa trupa,
Błada, między księgami, jakby kawał stupa,
Który z marmuru cięży wznosi się nad truną,
I twarz biała Wacława — ona jak śnieg góry,
Światłem się nie maluje, dymem się nie plami :
I kiedy myśli czasem w kształt przechodniej chmury
Zawichrzone ze sobą w wewnętrznej niezgodzie,
Po twarzy się przesuną jako wiatr po lodzie,
Nikną na niej. — Dziś jednak — widać w jego chodzie,
(Bo gwałtownemi mierzy komnatę krokami,
I pot z czoła mu spada gwałtownemi łzami);
Że ta błądź jest czucia gwałtownego świadek.
Włos spadał mu na czoło w dzikim nieporządku,
A wzrok jego ? — tak czasem okiem dziko strzeli,
Że gdybyś chciał aniołów malować upadek !
Owych przed światem jeszcze nieba wichrzycieli,
W jego oku szatańskich myśli badaj wątku.
« Ciemno jeszcze — daleko ciemniej niż z początku,
« Okna wszystkie otworzyć ! » i okna otwarte —
I chustkę z szyi zrywa — duszno — suknie zrywa,
Znów stanął — nagle księgę przed sobą rozłoży,
Ciekawie okiem śledzi rozpostartą kartę,
I jakby wyrok jego, na niej odpoczywa;
« Eritis sicut Deus » przeczytał znów czyta —
Milczy — ale myśl jego jak magnes żelazem
Rozdrażniona słowami — jak strumień alpowy
Pędzi, gdy go raz wypchnie z góry moc ukryta;
Jak koń spięty ostrogą mknie na wiatr kopyta ;

Tak myśl jego wzbudzona tym jednym wyrazem,
Na skrzydłach oka rwie się z zadumanej głowy,
Pewna swojego lotu, jak orlica z gniazda,
Zaiskrzyły się oczy — widzi ogrom świata,
Przeszłość—przyszłość!—z trzech liter wybija się gwiazda
Pędzi za nią — wzrok podniósł — do góry ulata —
Zadrżała — on ją okiem dogonił na niebie —
W niebie — w ziemi — on jeden — on Bóg — on zna siebie
Wstaje — myśli że głową obłoków dostanie,
Że wielki!! — Kiedy nagle z rąk mu pada księga,
W duszy coraz to mniejsza przestrzeń widokrega,
Przed okiem znowu tylko pokój — księgi — banie!
Wszystko tak, jak przed chwilą; sługa przy drzwiach czeka;
Na stole świece — ogień skrył do koła ciska —
A dusza! — dusza która Boga była bliska,
Jako pielgrzym do domu, wraca w kraj człowieka!!
« Precz mi z oczu, » drzwi wskazał — sługa na znak idzie.
On nie znieśie ażeby człek go jaki w wstydzie,
I to przed sobą samym, przydybał z nienacka.
Gdy wyszedł, znów krokami zadrżała posadzka,
Wacław samotny chodzi — « niechaj gmin zwyczajny
« Serce swoje jak papier na jaw pokazuje! »
Wacław inny — im większą boleść w sercu czuje,
Tem bardziej w słowach skąpy, w myślach swoich tajny :
Przejrzeć go jednak można! spojrzij mu w oblicze,
W oczy, na usta jego — i choć świadkiem gardzi
Myśli swoich, — wyśledzisz myśli tajemnicze;
Wyśledzisz, że od ludzi, cierpi, czuje, bardziej.
Oczy ma jasne — przecież jakaś mgła, powłoka,
Jakoby w żalu ciągłym wieczna iza stopiona,
Spojrzenie mu łagodzi, żar mu studzi oka.
Na usta śmiech nie zbłądzi — ale nieraz z łona
Dawniej może z potrzeby, dziś zwyczajem częstym,
Westchnienie się wyrывa i na ustach kona.
Czoło jego ściemnione spadkiem włosa gęstym,
Kroć wolny — twarz bladawa — i zwyczajne szaty
Czarne i zaniedbane dodają żaloby.
A kto słyszał głos jego, gdy mówi — i ktoby
Ludzkie serce rozumiał, ten zrozumie postać.
Lecz myśli jego tajnie, daremnie kto bada;
Jak z przepaści nie z niego nie można wydostać;
Gdy kto mówi do niego, krótko odpowiada,
Sam nigdy nie zaczepi — dla czego? — nikt nie wie.

Czasem słów kilka znanych z pism lub ojców świętych,
Z dumą rozumnym ludziom prędko rzeknie w gniewie,
I zamilknie — czasami nie skończy zaczętych,
Jakoby słów żałował — może być że z dumy,
Albo że głupstwem mieni zwyczajne rozumy.
Był czas i on pracował — nie raz zorze ranne
Bezsennego zdybały przy książek czytaniu,
A gdy późno w noc usnął, wstawał o świtanu.
Znękały go zapewne prace nieustanne,
Bo później długo w rękę żadnej książki nie brał.
Dziś znów szaf przyszedł dawny — nad stołem od rana
Zasiadł i tysiąc książek prędką dłonią przebrał,
Czytał i składał znowu — do skąpca podobny,
Któremu choć na rozkaz skrzynia złotem tkana,
On się z tem złotem zamknie, jak pajak osobny,
I liczy i przelicza, lecz chleb suchy gryzie.
Jedna przecież w Wacławie wielka jest odmiana :
Dawniej — myśli powagą ksiąg trzymane w ryzie,
Nie wznosiły rokoszu chociaż jarzmo czuły;
Dziś inaczej — sam siebie w odmiar nauk kładzie,
I jak śmiało rozdarłszy ornaty i stuly,
W serce, w czyny religji posłanników wgląda,
Tak dziś nauk zdarł formę, i w myśli osadzie,
Nie sentencji, nie zabaw — prawdę znaleźć żąda.
Żąda, lecz nie dostrzeże, chyba cień za ciało,
Kreski planów za gmachu węgielne kamienie;
Osobno mur do niego — dach — ściany, sklepienie,
A gmach? — na powiązanie gmachu rąk nie stało.

Czułto Wacław — czuł więcej — bo dumne nauki,
Jako w białość papieru nasadzone druki,
Splamiły mu niewinność — serce mu wykradły :
Tak mówią, że na ludzką krew upior zajadły,
Gdy ofiarę wybierze z której soki pije,
Ofiara umrzeć musi — lecz zmarła, ożyje,
I mordercy swojego postępując torem,
Znów niewinnych krew chlepcząc, staje się upiorem.
Tym jest rozum nabyty, alboliteż raczej
Tym przez rozum z krwi dusza wyszana, człowieka ;
Jaka śmierci opieka, taka jej opieka ;
Komu serce drga w piersiach temu nie przebaczy :
Czujesz świata cudowność i myśl w świetle bożym ?
Nauki ci świat, Boga, na części rozłożą ;

I poznasz błąd twój dawny — kiedy niebo gromy
 Ręką rzuca olbrzymią, błysk świeci po błysku,
 To chmury trą się z sobą — a co chmury, niebo,
 Fizycy wytłumaczają, wiedzą astronomy.
 Kochasz się — patrz czy miłość przyniesie co w zysku,
 Gdy nie — miłość jest głupstwem bo pieniądz potrzeba.
 Masz przyjaciół, ojczyznę? jeśli kraj cię wzywa,
 Rozpatrz się jakie cele, korzyści i skutki;
 Czy co zacząć dokończą, czy pora szczęśliwa,
 Czy po nagłej rozkoszy nie nadejdą smutki;
 Inaczej — niechaj inni krew swą marnie leją,
 Tobie lepszej przyszłości cieszyć się nadzieją!

Wacław przecież za dumny, aby naksztalt węża
 Zatrwał jadem złego niewinności serce:
 Toć on sam w pomoc książki nie wziął lekkomyślnie!
 Kiedy blask wiary dawnej zciemnili mu księża,
 Myślił tedy że z nauk iskrę po iskierce
 Zsypując, znowu światłem jasnym duch zabłyśnie.
 Oszukał się okropnie! — rozumowań słowa
 Słyszał ciągle — w nich jakaś treść — ziarno — osnowa,
 A duszy ani śladu — Czasem, niecierpliwie
 Rzucając książkę z ręki wołał na głos cały;
 « Gdzież jest bóstwo, które ja w piersiach moich żywię?
 « Przyjaźni zapal — miłość — wolności zapala,
 « I myśl co człeka tworzy i różni od zwierza?
 « Gdzie jest Bóg, stwórca świata? » — Książki nie wiedziały!
 One jak taktyk stary, gdy wojnę zaczyna,
 Zwycięztwo liczbą kreśli — ustawi żołnierza,
 Ale mu wiara wyższa nie staje jedyna.
 Wiedzą ile jest zwierząt, z kąd która roślina,
 Tylko czem zwierze, kwiatek; czem człowiek — nie doszli,
 Byli i tacy prawda, co innych przerosli
 Myślą o rzeczach wyższych, lecz w ich nauk szkole,
 Kto wytrzyma? gdy w słowa myśl — jak w nurt potoku
 Ziarno zboża rzucone, tonie — a na dole,
 Na dnie choćby i rosło — nie dojrzeć je oku!

« Rozbrat więc z niem wieczny, » — pomyślił — wykona.
 Wacław czucia i myśli na frymarkę nie ma:
 Raz jeszcze w świat ów martwy zatoczył oczyma,
 Dzisiaj — i nic nie znalazł — dusza przesilona,
 Kurzem już żyć nie może, głupcom ku podziwie.

Z pogardą więc pchnął stolik ręką niecierpliwie,
 Słowa na wpół ucięte, niewyraźne zrazu
 Chwilowo usta miera, aż w głosie pomалу
 Wyraz się coraz bardziej łączy do wyrazu,
 Z dumań wypada mowa — jak deszcz śród upału :
 « Niechaj mól życie nędzne w starych księgach pędzi,
 « Niech się w kartę zbutwiała z ciekawością wżera,
 « Moja ręka napróżno tysiąc ksiąg otwiera,
 « I warzy doświadczenia z tysiącnych narzędzi
 « Któż jak ja, z potem czoła męczył się i czytał?
 « Dziś gdym na równi z wami, gdybym się zapytał
 « Czegoście nauczili i co sami znacie,
 « Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
 « Jeśli wstyd znacie jeszcze — wam, gdybym się żalił!
 « Zamknijcie księgi dumne, i w nauk warsztacie,
 « Na każdej ścianie, każdej książkowej okładce,
 « Zapiszcie jedną prawdę — wypadek zagadce;
 « I ja z wami zapiszę: że człowiek zrodzony
 « By wszystkiego dociekał, sam niedościeszony!

CHÓR MŁODZIENCÓW *w oddaleniu.*

Hulajmy, hulajmy — póki w worku grosze,
 I dziewczyna jak malina,
 Młodości po trosze — młodości po trosze.
 Tańczymy, tańczymy — póki noga skoczy;
 Toć jest śpiewka — toć jest dziewczka,
 I skrzypek ochoczy — i skrzypek ochoczy!
 Dziś pijmy, — kiedy gardziel sucha;
 Dobry miódek, i dzban wódek
 U naszego drucha — u naszego drucha,
 Bo potem, bo potem — starość nas opęta,
 Młodość zniknie — człek odwyknie,
 Odwykną dziewczęta, odwykną dziewczęta.

CHÓR STARCÓW.

Bodajto czasy dawne — człowiek miał pieniądze,
 Piękne śpiewki, choże dziewczki
 Od nich cacka, wstążki — od nich cacka, wstążki.
 Każda się uśmiechała — każda była rada,
 Dziewka, wdówka — z mego słówka,
 Dziś żartują z dziada — dziś żartują z dziada,
 Nawet przyjaźń inną była — dobrzy przyjaciele
 Wsparli ciebie w twej potrzebie,
 Dziś nie warci wiele — dziś nie warci wiele.
 Piję więc zdrowie dawnych — starcze w ręce twoje!

Choć w pamięci, niechaj święci
 Człowiek szczęście swoje — człowiek szczęście swoje.
 Śpiew ustał — przepadł drogą — w mętym tonów zlewie;
 Tylko echa dalekie zawrzasły po śpiewie
 Coś o szczęściu i znikły — przy rozbiegłym chórze
 Ciekawych gwiazd tysięcy, księżyc na lazurze
 Twarz swoją bladą chyląc z błękitnego łoża,
 Na którym zadumany żegluję w przestrzeni,
 Włosy swe w kształcie srebrnych rozwiesił promieni;
 Rzekłbyś że czołem bije u niebios podnóża.
 I z okna dworca widać — czy muru kobierce?
 Nie, to postać Wacława po murze się łamie,
 I ku ziemi roztacza coraz większe ramie,
 I rośnie, jako płomień zawarty w iskierce,
 Gdy wiatr zarzew rozdmucha, rozprzestrzeni gwałtem;
 Aż w końcu cień olbrzymim ziemię dopadł kształtem,
 I zniknął — słyszeć tylko jak się okno zwarło;
 Szyby brzękły z łoskotem, a ganek głęboki
 Głucho odbił — znajome — prędkie — mocne kroki,
 Cicho — tylko po chwili dozorcze psa garło,
 Szczekaniem kilkakrotnem wiejskie strzegąc domy,
 Dało znak, że ktoś po wsi przeszedł nieznajomy.

V.

OBCY CZŁOWIEK.

Za wioską stała karczma — przy karczmie trzy drogi
 W różne ciągnęły strony — jedna szła ku miastu,
 Druga w lewo — a trzecia pełna głogu, chwaśtu,
 Dawno widać nie tknięta od człowieka nogi;
 Do zamku pono wiodła za dawnego czasu
 Rycerzów tych okolie — dziś bujna w pokrzywy,
 Przerzynając wężykiem urodzajne niwy
 W gęstwinę wchodzi leśną i ginie śród lasu.
 Słup drewniany przy drodze, i krzyż nad mogiłą,
 Oto wszystko co widzieć na rzut oka było.
 Tylko gdy pies zaszecekał przeraźliwym głosem,
 A na hasło zbudzone kądle wioski całej,
 Długim, przeciągłym wrzaskiem nagle zaszecekały,
 Z krzyża, wrony przelekle rwały się ukosem,
 I śladem drogi starej gdzieś lecąc na prawo,
 Odciągały z łoskotem i szumem i wrzawą;

A ze wsi jakaś postać, niewyraźna z razu,
Coraz to przedszym krokiem, gwałtowniejszym bieży,
I im bliżej podchodzi, tem oddycha szerzej
Aż w końcu u starego staje drogoskazu.

I spoczywa — tu zmiana całego obrazu :

W karczmie jakby z pod ziemi śpiew, tańce, kapela,
Słychać : grzmia śmiechy, krzyki, hulanka, zabawa.

Wędrowiec okiem gniewu, na okolo strzela

I opuścił drogoskaz — idzie bliżej — stawia :

« Oni się bawią — słudzy — a pan wasz majętny !

« Napiętnowany pracy i rozpaczy godłem,

« Na świat cały — rozkosze — wszystko obojętny.

« Marzyłem — ach okropnie duszę mą zawiodłem !

« Oni się bawią — słyszę ich śpiewy, ich tańce,

« A pan wasz! — panu gdyby świat rozwiódł swe krańce,

« Ciasnoby jeszcze było! — gdyby Rzym, trzy Rzymy

« Dla niego ogniem buchnął, rozłoczył się w dymy,

« Nudnoby jeszcze było! — gdyby nektar boski,

« Anieli w złotych czarach przynieśli mu z nieba,

« Gorzkoby jeszcze było — gdy oni — bez troski

« Mając zaledwie codzień kęs suchego chleba,

« Świat w duszy ciasny jak ich codzienne potrzeby,

« Szczęśliwi i spokojni. — A nam — a mnie żeby

« Bóg się w płomiennym krzaku pokazał Mojżesza

« I morzem wszystkie świata wylały się skarby,

« Mnieby Bóg nie pocieszył — mnie jednego dar-by

« Żaden świata nie zajął — jak dziś nie pociesza! »

ŚPIEWY W KARCZMIE.

Hulajmy, hulajmy, póki w worku grosze!

I dziewczyna, jak malina

Młodości po trosze — młodości po trosze.

JEDEN Z MŁODZIĘNCÓW.

Pisz palkę, krysek nie chcę — wódki tu! pół kwarty!

STARY ŻOŁNIERZ.

W marjasza? — kiksa! — éwika? — karty! kto chce w karty!

Śpiewa sobie :

Hej! tam na górze,

Stoją rycerze!

Puku, puku, w okieneczko

Otwórz, otwórz pańieneczko,

Bo ułan jedzie!

MŁODZIEŃCZAK.

Jakież nudy przekłete! siedzicie jak mruki.
 Bodaj was kaduk porwał! — lepiej zbijać bruki
 Niż w takim żyć barłogu —

DRUGI NA PÓŁ PIJANY

A w jakim barłogu?

Ej z nami nie zaczynać!

PIERWSZY.

Patrzcie — daj go Bogu!

Zuch, frant, tego mi trzeba!

DRUGI.

Milez ty darmojedzie!

PIERWSZY, *porywając się.*

Co? mnie? ty kręciwasię, moczymordo, trzpiocie,
 Ja cię gwizdać nauczę!

JEDEN ZE STARYCH.

Sąsiedzie, sąsiedzie!

Po co te swarki głupie przy naszej ochocie?
 Toć cygan się obwiesił dla dobrej kompanji.
 Hej wódki! czyż to od nas lepsi są cygani?
 W ręce wasze!

MŁODZIK DO DZIEWCZYNINY.

Tam miejsce — u tamtego stołu
 Przy miodu szklance sporej siądziemy pospołu.

NAUCZYCIEL SZKÓŁKI *do mieszczanina.*

Ależ ja wam tak mówię — Ksiądz dziś na ambonie
 Nie o tem prawił — mówił o Chrystusa zgonie
 O jego śmierci za nas

JEDEN Z MŁODZIEŻY *podając szklankę bakałarzowi.*

W ręce panie kumie!

NAUCZYCIEL.

Dziękuję — człowiek niby czasem zarozumie.
 Słówko jakieś, i zaraz chce kazanie prawić.

MŁODZIK *pokazuje na szklankę.*

To mi to jest kazanie, lepiej się zabawić!

MIESZCZANIN.

Ależ przecie jam myślał...

NAUCZYCIEL *przerywając mu.*

W waszej mózgownicy,
 Wygląda jako w pustej odludnej dzwonnicy:
 Jeśli człowiek nie przyjdzie, serca nie poruszy
 Cicho — rozkołysz serce — brzęk ciebie zagłuszy.

GOSPODARZ.

Prawdę mówi pan Józef — co tam gadać o tem!
 Mamci ja innym głowę nabił kłopotem.
 Pokupu nie ma w mieście — robotników mnóstwo,
 Dzieci huk — żona krzyczy — wszystkie krzyczą chleba;
 O tem to raczej myśleć i mówić potrzeba,
 Jakby powiększyć zakup a zmniejszyć ubóstwo,
 Niżli bajać w około co tam ksiądz zapowie.
 Nad wszystko panie bracie, milsze życie, zdrowie!

NAUCZYCIEL.

E, ho wy też znów tylko myślicie o grdyce.

MŁODZIK.

Cóż to znaczy, czy ducha nie ma już w muzyce?
 Różąc od ucha — niech skrzypek odwrotnego utnie.

JEDEN Z STARSZYCH.

Kościuszki!

DRUGI.

Dąbrowskiego!

WSZYSCY.

Kościuszki — hej zgoda,

Tylko żwawo i ostro!

— Rozmowy i kłótnie

Ustały jak deszcz, kiedy zaświeci pogoda,
 Albo gdy kur zapieje, złych upiorów harce.
 Na jednej stronie w myślach zatopione starce,
 Słuchając znanej nót w milczeniu głębokiem,
 Spoglądali na młodzież smutnem, łzawem okiem.
 Dalej chór śpiewał nótę — lecz w tej nótce słowo,
 Tak dziwnie w ustach brzmiało młodzi śpiewającej,
 Tak każdy ton był czuły, i wolny, i drżący,
 Że wziąłbyś hymn wesela za pieśń pogrzebową,
 Albo za pieśń rozstania i zimnej rozpaczey,
 Wacławowi jednemu inaczej się zdało;
 Wacławowi jednemu zabrzmiała inaczej:
 Bo w myślach, w duszy jego, obudziła ciało,
 Ciało z letargu, wspomnień wywołała znakiem,
 Uczuł że ma ojczyznę — wspomniat że Polakiem.
 Tak często tonącemu w bezdennej topieli,
 Rzucił z brzegu nitkę słabą rwącą się kądzieli,
 On za nią jak kotwica za grunt morski chwycił:
 Ale patrz — ledwo sięgnie — wiotkie rwą się nici,
 Tak słowo w dobrej ludziom powiedziane chwili,
 Jak trąba archaniola, stworzy ich czem byli.

« Ojczyzna! — krzyknął Wacław — o dzięki wam, dzięki
« Za znak życia nowego! — póki stanie ręka,
« Ręka do niej należy — póki myśli stanie,
« Myśli jej niechaj będą! — Zabłysło zaranie
« Światel nowych — Bóg w nowej zabłysnął postaci.
« Nie w księgach go wynaleźć : On w żywocie braci
« Mieszka jak w swym kościele, jak w arce przymierza!
« Niebo rodzinne — oto świątyni jego wieża;
« Ziemia rodzinna — oto budowa kościoła;
« A w piersiach tron jest jego — w piersiach głos anioła!
« Posłyszałem — uczulem — rozumiem cię Boże!
« Chcesz ofiar — ja mój żywot w ofierze położę,
« Przyszły i teraźniejszy — chcę jak lud na puszczy
« Łaknąć, byle ojczyźnie tem pomódz można;
« Każda myśl moja, będzie jako hymn pobożna,
« Język mój ustom, słowa samej czei poduszczy,
« W modłach noce przeplacę, dni przemęcę w trudzie
« Tylko niech kraj mój wolnym — wolni będą ludzie!

Tak Wacław rzekł ze łzami i padł na kolana.

Lecz i śpiew nagle ustał — czyby okna ściana
Mowę jego w głąb wniosła? — i słuchacz ciekawy
Chciał śledzić jego myśli i mowy i sprawy!

Wacław z obawą, trwogą, porwał się z pośpiechem.

Inaczej przecież było — płacz się mija z śmiechem

Na tej ziemi, jak orszak weselny z pogrzebem,

Albo słońca blask czysty z zachmurzonym niebem,

W karczmie, kędy przed chwilą zadumani wszysej

Śpiewając piosnkę dawną płaczu byli bliscy,

Zapomniano o smutku, śmiano się z kolei :

Bo jakiś nieznajomy, krzepki, rzeźwy, młody,

Wszedłszy nagle do karczmy, zażądał gospody,

I zdumionym młokosom plół smalone duby.

To w dowcipnym słów zwrocie wspomniął o nadziei,

To śmiał się z zbytniej starcom właściwej rachuby.

I przepijał niezgorzej do gromady całej.

Z ubioru zdał się Polak — z wzrostu nie był mały,

Wytartą miał bekieszę, pas u niej wytarty,

Przecie śmiech wiecznie prawie do twarzy przyrośły,

Oczy bystre — włos rudy — nos w górę zadarty,

Nie najlepsze świadectwo duszy jego niesły.

W rękę kij i tłumoczek na plecach zwieszony,
Świadczyły podróżnego — jakoż gdy pytano,

Zkąd idzie, rzekł z uśmiechem, że dziś wyszedł rano
Z miasta o pięć mil drogi — że rodzinne strony
Chce zwiedzić, bo tam pieniądz ma do podniesienia,
Właściwie z Zgorzelskiego księstwa prosto idzie (1).
Dodał w końcu twarz niby zapuściwszy w wstydzie :

« Co się zaś tycze mego nazwiska, imienia,
« To ukrywam, bo z resztą komuż chodzi o to,
« Kto tam teraz ciekawy jak się kto nazywa ?
« Jan, Paweł — Niemiec, Polak — czyż to daje złoto ?
« Imię spasłym nie czyni — więc lepiej z ochotą
« Wypić jeszcze ! »

*(Śpiewając przytłumionym głosem jak gdyby dla siebie,
tak jednak żeby go wszyscy słyszeli.)*

« Gdzie dobrze urodzajna niwa,

« Pop ma litość, król z ludem przyjaźń zobopólną,
« Gdzie wszystko myśleć wolno, wszystko mówić wolno,
« A sędzia ubogiemu sprawiedliwość przyzna ;
« Tam kraj mój — moje imię — rodzina — ojczyzna ! »
A czyż jest kraj gdzie taki ? zawołali młodzi,
Dziwnie kręcąc głowami — « czy jest ? — odrzekł na to —
« Zapewne kiedy człowiek nigdzie nie wychodzi,
« I życie spędzi między stodołą i chatą,
« Trudno żeby go znalazł, i wy nie znajdziecie
« Ale świat jest obszerny, dziwy różne w świecie !
« Wódki tylko, hej wódki, cuda wam opowiem.
« Tylko pić, jakimże rozpoczniemy zdrowiem ?
« Dziewcząt ładnych ! nie prawda ? — niech żyją dziew-
częta !

« Co mają piersi pulchne i lubieżne oczy.

(Piją wszyscy powtarzając zdrowia.)

« Drugie zdrowie ! młodzieży ochoczej !
« Lepszy młodzik pijany, niż osoba święta.
« Niech żyje jak przystoi !

(Piją.)

« Hej — na trzecie wódki !
« Wesolości i śmiechom — niech przepadną smutki.
« Więc śpiewać ! — kto zaśpiewa ? — ha — pieśń na
myśl wpada.
« Słuchajcie tylko pilnie » — to rzekłszy usiada
A cała koło niego kupi się gromada :

(1) *Kromer nazywa Zgorzelskiem Brandenburgją.*

Na pewnego króla dworze (1
 Żył wielka, piękna pchła
 I kasała, była zła.
 A cóż pyszczkiem pchła nie może!

Król piękności każdej znawca,
 Kochał ją jak dziecko swe,
 Dla tego że dobrze ssie,
 Toć dla niej zawołał krawca.

Krawcze, rzeczce, weź mu miarę
 Paniczowi zrobisz frak,
 I wykroisz sukno tak,
 Żeby miał i spodni parę.

Pchła się stroi w axamity,
 Na ramieniu duży pęk,
 Orderowych wiesza wstęg,
 Na piersiach ma krzyż wyszyty.

A że i wykręty w głowie,
 Skoczne nogi koło łba,
 Pieczęć państwa, władzę ma.
 Pchłami wszyscy są panowie.

Była ich ogromna mszyca,
 Cały był kaszany dwór,
 Król, królowa, dwoje cór,
 Babka, ciotka, siostrzenica.

I nikt nie mógł się podrapać
 Bo nie drapał pan i król.
 Co za męka, co za ból,
 Kiedy pchły nie można złapać,

WSZYSBY ŚMIEJĄC SIĘ NA GŁOS
 Ha, ha, ha, to komedja!

MIESZCZANIN, *poważnie do nieznajomego.*
 Ale gdzież podobna

Ażeby pchła tak mała, gadzina tak drobna,
 Miała mieć frak i spodnie, pęk orderów przytem.
 Toćby trzeba żeby frak był dla niej szytym

(1) Z *Goethego*.

Chyba łapkami mrówki, i tkanką pajęczą,
Dla tego niech mi wszyscy ludzie za to ręką
Ja wierzyć w to nie mogę.

WIELU.

Jaki on też głupi!

OBCY CZŁOWIEK.

Dobrze mówi — któż kota w worze ślepo kupi.
Na tym świecie wątpienie do mądrości drogą.
Lecz do rzeczy — widziałeś drzewa liść co wiewa?
Nie prawda że ma szewki — a krawiec zkąd? z drzewa.
Gdy więc drzewo tak szyje, cóż ludzie nie mogą!

JEDEN Z MŁODZIEŻY *do drugiego.*

A to mu jak kotowi utarł z pyska mleko.

DRUGI.

Widać że się gdzieś w świecie wycierał daleko.

OBCY CZŁOWIEK, *wciąż dalej mówiąc.*

Wszak dziś już po powietrzu latają nad ptaki,
Owym worem dymami zkądsiś wydmuchanym,
Mierzą słońce i księżyc — wiedzą gwiazd przechody,
I jeszcze czas nadejdzie, dziwaczny czas jaki,
W którym człowiek nie kontent że jest ziemi panem.
Węborkiem czerpać zechce w chmurach czystej wody.
(*Wszyscy milczą — Nieznajomy znowu po jakimś czasie dalej mówi.*)

Wy prawda, biedni ludzie — wy nie wiecie o tem.
Dla panów waszych z czoła pracujecie potem,
Dla drugich! — a ci drudzy! — wściekłość mnie pożera!
Każdy z nich próżniak, skąpiec, obłudnik, kostera,
Robi z wami jak z młynkiem, co mu się podoba —
Ależ prawda — was święta uczyła osoba,
Choć świętość więcej grzeszy niż wy wszyscy razem,
Że panów słuchać — wiecznym religji rozkazem —
Że —

JEDEN Z MŁODYCH *przerywając.*

Co tam gadać o tem — nie zmienić wszelako.
Lepiej więc Waszmość powieść kredensuj nam jaką!

WIELU.

Powieść! coś o pchle znowu!

KILKU.

Nuże — wódki żwawo!

OBCY CZŁOWIEK.

Nie mogę — pilno mi jest — zbyt późna dziś pora
Gdzie jutro stanę ledwie — miałem już być wczora,

A i jutro uciecze z dzisiejszą zabawą.
 No! — zresztą — jedną jeszcze — ale pod warunkiem
 Że potem ni pytaniem, ni mocą, ni trunkiem,
 Niczem mnie nie wstrzymacie.

KILKU.

Spiesznie mu za katy!

OBCY CZŁOWIEK.

Przed stu, dwustu może laty,
 Kościelne wychudłe szczury,
 Widząc codzień msze — ornaty,
 Wszystkie razem wyszły z dziury,
 Bo im bardzo w gust przypadło,
 Naprzód białe prześcieradło,
 Dalej pasek a za paskiem,
 Ornat ze złotym obrazkiem.

Lecz krom tego, co nie lada.

To, co ksiądz codziennie zjada.

Więc na radzie jeden rzecze :
 Do pomysłu dobra pora,
 Proboszcz gdzieś wyjechał wczora —
 A zwodne zmysły człowiecze,
 Jutro więc niech na dzwonicy,
 Kilku w spiż wali ogonem;
 Ręczę, wszyscy katolicy
 Na mszę przyjdą za tym dzwonem,
 A ja w ornat się ubierę,
 I zaśpiewam miserere.

Jak uradził tak się stało :
 By czem przykryć szczurze ciało,
 Strzygli ornat przez noc całą.
 Gdy się na niebie dzień bieli,
 Był to właśnie dzień niedzieli,
 Koło siódmej zadzwoniono.
 Cóż? — zaledwie w dzwon urżnięto,
 Katolików na mszę świętą,
 Jedno, drugie wali grono.
 Szczur na ołtarz wlaż w galganie
 Inni grali na organie.

Próżna praca — modlitw, płaczu,
 I krzákania, dzieci krzyku,

Było wprawdzie aż bez liku,
 Lecz któż myślał o kołaczu?
 Próżno szecurek okiem strzyże,
 Rychło która pani matka
 Przyniesie choć kęs opłatka;
 W rękę same książki, krzyże,
 Więc z ołtarza prędkim szustem.
 A i kościół stanął pustym.

Sród odludnej, chudej fary,
 Szczury więc na radę znowu.
 Wtenczas ojciec siwy, stary,
 (Wszystkie były jego chowu)
 Tak im rzecze: głodni, chudzi,
 Cóż nam zwodzić ludzi potem;
 Głupstwo prawda w sercu ludzi.
 Ale w myślach człowiek kotem,
 Nuż nas zdybie! — lepiej zatem
 Będąc szecurem, przestać na tem!

Wacław z całej powieści nie stracił syllaby,
 Odgadł ją — wyrozumiał — i zdradę ocenił,
 Chciał wołać — lecz głos jego przesilony, słaby,
 Skonał w ustach. — Wzniósł rękę — ręka mdła upadła;
 Spojrzał — żreniczne oba ciemnią się zwierciadła,
 A twarz jego żar jakiś rozpałał, rumienił,
 To znowu jak z zapалу ostudzona bladła.
 I Wacław był podobnym do owych zbrodniarzy,
 Którym sędzia gdy wyrok z dziejów czyta zbrodni,
 Czucie winy, występku jako strach przechodni,
 Siły zniszczy — wzrok stępi — i siądzie na twarzy.
 Słuch jeden zimny został — słuch — ów świadek skryty
 Tysiąca grzesznych myśli — jak Tantal niesyty,
 Jako skąpiec łakomy, bystry jak sumienie,
 Podobny do Charona co przewozi cienie,
 Na powodzi zdań własnych, żeglarz myśli innych
 Sto razy potępionych, raz może niewinnych!
 On umie wszak i zdania dla wiecznej katuszy
 Podobieństwem złowionem — śpiewem — słowem — rysem,
 Wpędzać w duszę, lub raczej wywoływać z duszy,
 Jak mistrz z księgi gdy karty obciążył zapisem
 On śpiew przejął — już uciekł — drzwi skrzyły w zawiasie
 Szmer jakiś — i większy — coraz większy — głosy!

Byli to starcy którzy krzyczeli po czasie
 Językiem prawdy wiecznej: « Nieszczęsne młokosy!
 « Miecz boskiej zemsty na was z nieba ciężko spada.
 « Słuchacie głosów kłamstwa pożądliwem uchem,
 « Opętani jesteście nieczystości duchem,
 « Poprawcie się bo biada, stokroć na was biada! »
 Ledwie zmiłkli, ktoś przeszedł jak kłęb liści z szumem,
 I w kształt ognia co z dymem wlecze się po ziemi
 Zgniłym pnem lub drewnami wzbudzony mokremi,
 Schylona jakaś długa przeciągła się postać.
 « Stój nędzny » — krzyknął Wacław — jakby wspomnień
 tłumem,

Do życia przywołany. — « Stój! » krzyknął raz drugi,
 « Choćbyś był i szatanem musisz kroku dostać!
 « Kto ci dał moc kupczenia twym nędznym rozumem?
 « Trujesz ludzi pod barwą zabawy, usługi;
 « Plamisz im czystość duszy, obudzając chęci,
 « Których nigdy dopędzić, uścić nie mogą,
 « Jak złodziej drzesz się w serca — wyrywasz z pamięci
 « Wszystko co świętem mieli — świętość depczesz nogą!
 « Szatanie czy człowieku! jeśliś twarz człowieka
 « Oblekł, by zbrodnie szczepić, jeśli » — tu powieka
 Odsłoniła źrenicę — nie było nikogo.

Wiatr tylko gałęź drzewa przeginał z daleka,
 Słup głuchawo przy drodze skrzypił drogoskazu,
 A cień do wytartego podobny obrazu,
 Mknął się nagle przed okiem i przepadł gdzieś drogą,
 Lecz wrażenie zostało — bo kiedy po chwili
 Zamyślony do domu krok Wacław obrócił,
 Pozór go jeszcze w myślach uwodzi i myli,
 Stawał często i słuchał, jakby pieśń kto nucił.

VI.

ODMIANA.

Młodym był Wacław jeszcze — ledwie rok dwudziesty
 I wiosen może kilka liczył w pasmie życia.
 Młody i smutny ciągle — od ludzi pożycia
 Jak od węża uciekał — z tej przyczyny? nie z tej?
 Różnie twierdzą, bo trudna duszy jest zagadka.
 Mówią tylko że kiedyś umarła mu matka,
 Ale ją ledwie zaznać mogło chłopcze młode.

Przyjaciół nie miał żadnych, i kochanki żadnej.
Wacław choć sam z postaci przyjemny i ładny,
Zimnem okiem spoglądał na dziewcząt urodę.
Z nikim serca swojego, czucia nie podzielał,
I nigdy myśli swoich nie zwierzał innemu.
Gdy czasem z nieśmielszych który zapytał się, czemu
Tak samotny — pytanie dowcipem rozstrzelał
Albo gorzko się rozśmiał — milcząc po dawnemu.

Jedna mu przecież droższa istota nad inne,
Siostra jego Helena — twarz — oczy niewinne,
Często go zająć mogły — westchnął nie raz przy niej,
Czulej rękę uściśnął, łzę uрониł w oku.
Tak Pan Bóg się zakocha w ołtarzu świątyni,
Tak potok kroplę ściśnie, tak w szumnym potoku
Kropla rosy uwięźnie! —

Kiedy czasami błaząc w odludnem ustroniu,
Albo na rozhukanym, na zdzieczonym koniu
Jakby ciała sileniem, smutek cieńczał w sile,
Pędził chciwie za czemsiś, z wiatrem się uganiał,
Cios jakiś wymierzał i piersi odstaniał:
Gdy powrócił — przy siostrze wypoczął na chwilę.
Bładość nikła mu z twarzy — pierś mu wolniej biła,
Dusza jeszcze czasami o szczęściu zaśniła.

Co knuje w samotności? napróżnobyś badał.
Powiadają, że jakieś stare miewa księgi
Z których moc dziwną czerpie — zaklęcia — przysięgi
Słyszeli go, jak nie raz sam ze sobą gadał,
Pozawieszał na sobie różnobarwne wstęgi
I znów książki brał do rąk, i karty rozkładał.
Druga wieść przebąkuje o smutku, rozpacz; —
Inna mówi — świadkowie zazwyczaj niezgodni —
Że nie duchy zwołuje, lecz przekleństwa zbrodni,
Jakiej? czemu? nie wiedzieć co to wszystko znaczy.

Uptywały tygodnie, miesiące i lata
Wacław jak dawniej dziwny — gruchnęły posłuchy
Że choruje a nawet język jakiś głuchy
Więcej dodał — że jasna jego zmysłów strata;
Że nie po ziemi chodzi, po niebiosach lata.
Jedni radzą spokojność, drudzy miękkie puchy,

Inni znowu rozrywkę dla myśli otuchy,
A biedna siostra płacze — przyjaciela — brata!

Lecz słuchajcie! odmiana wszystkiemu zagraża,
Odmiana choć nie zmiana — bo człowiek nie zmienia
Głosu wiecznego — prawdy — głosu przeznaczenia!
Tak się roślina każda na wiosnę przetwarza,
Tak potok zmienia wody, a przecież potokiem,
Tak upływa dzień za dniem, ginie rok za rokiem,
A czas, jak świat odwieczny!

Wacław przestał być dzikim — nawet i oszczerec
Jego rozumu widzą odmianę w Wacławie;
Dawniej żył tylko we snach, dziś żyje na jawie.
Každy chwali poprawę, nikt nie spojrział w serce!
« Podajcie kielich, rozkosz, młodzi przyjaciele
« Wacław spełni go z nami, — dawniej — ale na co
« Przypominać co było? niech myśli i dумы
« W nabożnych pieśniach zabrzmia w parafji kościele,
« Niech starzy głowę żują, gdy siły utracą.
« Nam młodym nie potrzebne książkowe rozumy,
« My — kiedy tryskać zacznie płyn czystego wina,
« Kiedy w gronie przyjaciół pieśń zabrzmie dokoła,
« Kiedy wdzięków użyczy lubieżna dziewczyna,
« Dusza podobna wiatrom, swobodna i wolna. »
Takie, i tym podobne dziecinne łakocie
Rzucali Wacławowi młodzieńcy radośni;
Tymczasem wieść gruchnęła — głośniejsze, coraz głośniejsze,
O jego nagłej zmianie — o zmysłów powrocie,
Ztąd mnogie zapraszania, powinszowań krocie;
Wacław wszystkie przyjmował, zimno lecz uprzejmie,
Jak zręczny wódz przyjmuje wroga przy rozejmie
Zanim skutków pewniejszy, nowe bitwy zacznie.
Wesołym nie był przecież — chociaż go zabawa
Na pozór zająć może — weseli — rozśmieszy.
Smutek się mocny ściera jako rdza — nieznacznie,
Choć żelazo trzesz, plama długo świeci krwawa!
Często więc wśród biesiady i krzyczącej rzeszy
On jakby obcy wszystkim w milczenie zapadnie.
I że duma o czemś, dostrzedz z oka snadnie.
Zrywa się postrzeżony — coś mówić zaczyna,
Uśmiecha się zmieszany — sięga do kielicha,
Nieprzytomnie nalewa w kielich pełno wina

Spelnia go nieprzytomnie, lub znowu odpycha,
I patrzy wzrokiem dzikim — czasem w jego stroju
Coś widać dziwnego — czasem w jego mowie
Jakby wszystkich pięć zmysłów razem nie miał w głowie,
Obląkanie wyraźne — na środku pokoju
Stanie i patrzy — milczy — nic nie odpowiada
A przytem oko smutne, twarz jak dawniej blada.

Ale dla czegoż Wacław odmienił swe życie?
Czemu, jeżeli myśli niezgodne ze światem
Własnego serca zostać zaprzysięgłym katem?
Ciemne wieści, i jakieś mistyczne zakrycie
Na wszystkie kroki jego zwieszono szeroko.
Czy może chciał badawcze w świat załopić oko
Aby lepiej zdrożności i błędy ocenić?
Szuka ludzi, jak dawniej uciekał od ludzi
Najmniejsze słówko często ciekawość mu wzbudzi
Ale zimną ciekawość. — Dawniej bez powodu
Zwykł się być gniewać, lica wybladłe płomienić,
Dziś serce i myśl jego podobna do lodu
Zwierciedli wszystko, aleć i wszystko odbija!
Jedno go wzruszyć może — jeśli mowa czyja
Wspomni czasem o kraju.

Jak rosa spada, słońca wyplakana okiem,
I ta co we mgłę cmiła, ożywia naturę,
Albo lotna w tumanach rozkłębi się w górę,
Aby mdłe części z złotym połączyć obłokiem,
Tak myśl jego na kraju, na wolności wzmiankę
Nowem życiem oddycha — oko się rozżarzy
Usta drgają od zczucia — mieni się na twarzy;
Powiedziałbyś że śmierć mu zabrała kochankę
I że z nią w niebie mówi, anioł odpowiada.
Czasem w gronie znajomych dawną pieśń zanuci,
Albo przodków waleczne przypomina dzieje,
Lecz gdy skończy, zaledwie warga pieśń wyleje,
Znow się nagle zasmuci, w milczenie zapada,
Z nim wszyscy — jako ludzie z nadziei wyzuci
Gdy serce czasem stworzy, myśl strzaska nadzieję!

— Szczęśliwy! ty przynajmniej miałeś komu śpiewać!
Moich uczuć i pieśni, nikt ze mną nie dzieli,
Ty masz przed kim zapłakać, ulgi się spodziewać
Ja daleki od moich — nie mam przyjacieli!

Nie mam rady z kąć czerpnąć — trudno wyżyć z nimi;
 Jeśli łza czasem spłynie, upływa samotnie,
 Szczęśliwy kto świat zwiedził, szczęśliwy stokrotnie
 Kto nigdy nie opuścił rodzicielskiej ziemi.

Sam jeden pośród tylu, wiehrzę się po świecie,
 Może nawet powieki obca dłoń mi stuli —
 O bracia! czem kraj własny, jeśli nie czujecie
 Opuśćcie go na chwilę a będziecie czuli.

Ileż razy myśl moja w wasze grono leci,
 I goni miłe duszy, przeszłości obrazy,
 I do śnieżystych, zimnych ojczystych zamieci
 Wzdycha z raju natury aż po tysiąc razy!

U nas ziemia zmrożona, ale serce w wiosnie;
 U nas mgła często niebo zachmurzone trzyma,
 Ale przyjaźń ma błękit — ścisną dłoń radośnie;
 A tutaj słońce grzeje ale w sercu zima.

Gdy o kraju przemówię żaden nie rozumie,
 Gdy westchnę, ledwie echo westchnienie powtórzy.
 Sam jeden ginę w obcym, nieznanym mi łamie
 Jak listek wiatrem zdjęty od wiosennej róży.

Piers tylko jeszcze kiedyś czucie z myślą żeni,
 I co dusza w ukryciu stworzy i wymyśli,
 Łaknącem kradnie uchem, w słabą pieśń zamieni,
 Albo służebna ręka w martwy papier kręśli.

Życie nasze upływa jako chwile gończe
 Które ledwie zabłysną, znikają na wieki.
 Kto wie, czy nie zapadną i moje powieki,
 Albo wasza nie skona, nim śpiewu dokonczę!

Obcy, nieznani ludzie spotwarzą me chęci,
 Zelą przyjaźni tylko poświęcony datek —
 Rzuca wzdychania czule w otchłań niepamięci
 I zniknę, jako we mgle konający kwiatek!

« Precz, precz z mego oblicza — co chcecie odemnie
 « Zimny księżu, dla czego zbliżasz się do łóżka
 « Chcesz mi myśli wysączyć, i serce tajemnie?
 « Mylisz się — to nie twoja okoliczna duszka —

« Cudzoziemiec umiera — uciekaj od niego!
 « Ty jeszcze stoisz — patrzysz — czekasz niby czego —
 « Kto jest ten drugi z tobą? — nieznane mi twarze —
 « Wasze oczy ciekawie śledzą na zegarze
 « Każdy popęd skazówki, jak gwiazdy obrotów,
 « Dla czegoś tak utopił we mnie wzrok ponury;
 « Rękę twoję podnosisz, wskazujesz do góry —
 « Ja śmierci się nie boję — umrzeć jestem gotów!
 « Otwierasz puszkę księżę? — czy lekarskie zioła?
 « Mnie Bóg nie chciał dopomódz — czemże kwiatek polny!
 « Schowaj pokarm dla ciała co pokarmu woła:
 « Schowaj trunek, dla duszy nędznej, nieudolnej,
 « Kto mógł żyć pośród burzy nieugięcie wolny,
 « Ten bez cudzej pomocy i umierać zdoła!
 « Światło błysło — ha noc już — myśli krążą ciemno —
 « Zimno mi — twardo w puchach i miękkiej bieliznie —
 « Słyszę głosy — anioły śpiewają nademną —
 « Ta myśl — wam przyjaciele — rodacy — ojczyźnie! »

Lata przejdą nie jedne i kamień grobowca
 Mech okryje i zielskiem mogiła porośnie;
 Zamilkną wszystkie dawne o życiu krajowca
 W kraju własnym — rodzinie — nowiny donośne.
 Nie widać go, nie widać — nawet nie nie pisze —
 Jeden westchnie, zapłaczę może dusza czuła,
 Czasem jeszcze ktoś wspomni — i znów ciągle cisze —
 Grób ci drugi, młodzieńcze, pamięć już usuła.
 Wieść jedna tylko czasem w dalekiej krainie,
 Jak strumyka szmer zimny, w ustach zimnych płynie,
 Że kiedyś — przybył zdala — samotny młodzieniec. —
 Pokażą gdzie spoczywa — i śmiertelny wieniec
 W kościele wisi dotąd — u wstążek zawiązki.
 Tam na wschodzie grób jego i ta na wschód rzeka
 Mawiał on, że daleko gdzieś pędem ucieka,
 I dla tego w nią wrzucał zerwane gałązki,
 Że łzami na nie patrzył — i tam spoczął przy niej.
 Na twoich brzegach może wyrośnie sitowie
 I z liścia tego wianek kochanka uczyni;
 Rybka może niejedna spląta się w połowie,
 Która łzę wędrownika w obcym kraju piła.
 Gdzie serce — tam przeczucia niezgadnięta siła!
 Gdy listeczek sitowia w rączce białej wiewnie

Wszyscy zapłaczą rzewnie;

Gdy ryba uwięziona w mętnej wodzie pluśnie,
I kropelka na siostry czułe lica prysnie,
Jej myśl młoda w marzeniu o przeszłości uśnie
I na startym obrazie pamięci zawisnie,
W jego strony popłyn rzeko
Tam daleko — tam daleko!

Nielitościwy, łzami wykarmiony duchu!
Więc i po śmierci jeszcze pragniesz łzy za datek!
Łzami ma być żywiony grobu twęgo kwiatek?
Wzdychaniami twa pamięć? i cóż masz z pamięci?
Już ci się kark twój pyszny dzisiaj nie łabęci:
Lica zsiniały zsiadłej krwi twojej sinością.
Ręka się już nie ruszy, by wydać rozkazy!
Jedna pamięć, podobna do błędnej oazy
Będzie pływać gdzie wszystko znikomem — nicością!
Może zawsze? niestety nazbyt, nazbyt krótko!
Gdy kochanka — przyjaciel — jak ty żyć przestaną
Co będzie twych wspomnień u innych pobudką?
Jak pył z wiatrem, z ich śmiercią pamięć twoja zwiana —
Z ich śmiercią? — nie — za życia zapomną cię jeszcze,
Za miesiąc — rok najdalej — skoro od ich szyi
Odezpisz się — alboż to pamięć w sile czyjej!
Ta ręka, którą dzisiaj w rękę mojem pieszczę,
Te usta, które wierność przysięgły ci nieraz,
Wiesz czem były — czem dzisiaj — najlepiej czem teraz —
Ależ o jutro tylko nie pytaj się próżno,
Świat postaci ma różne — ludzie duszę różną.

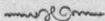
Więc żartować z pamiętek! — z owych mar i cieni!
Gdy umrę nie chcę modlitw i ciężkich kamieni —
Mniejsza że obey prochów moich nie odgadnie;
Niech każda pamięć o mnie wiecześnie przepadnie,
Niech się wiatr z trupem bawi — a drapieżne zwierze
Zbierając rozniesione po przestrzeni szczątki,
Niech ostatnie istnienie, ostatnie pamiętki,
Spokoju grobowej, paszczką odbierze!!

CZEŚĆ DRUGA.

WACŁAWA MŁODOSĆ.

Was machst du an der Welt—sie ist schon gemacht!
Der Herr der Schoepfung hat Alles bedacht!
Dein Loos ist gefallen — verfolge die Weise;
Dein Weg ist begonnen — vollende die Reise.

• GOETHE.



STOLICA.

I.

BAL W ZAMKU.

Z zamku wiewa chorągiew królewskiej bytności.
Cesarz na przywitanie, przyjazd Cesarzowej,
Daje ucztę wspaniałą, wielki bal maskowy:
Na bal zewsząd ciekawych tłumy jadą gości.
W podwórze oświecone, jak błędne komety
Wpada tysiąc powozów — jeden drugi goni,
Przy tem krzyk — kół warczenie — dzikie rżenie koni —
Dzwon odwachu, żołnierze, panowie, kobiety,
Francuzi i Polacy, Anglicy, Moskale —
Zgiełk powszechny jakoby w rzymskim karnawale.
Schody kobiercem słane prowadzą do sali,
Dwudziestu czterech laufrów z pochodniami w rękę
Wiewają ogniem u stóp — im kto idzie dalej
Tym ich więcej — aż w końcu drzwi otworzą w szczękę
I sześciu razem imię gościa zawołali.
Głos i gość wleciał nagle i każdy przepada —
Tak wrzask moený, tak liczną balu maskarada.

Wszystko jak w czarodziejskiej suwa się latarni.
Maski w różnych kolorach, i dziwacznych strojach,
Biali — zieleni — żółci — czerwoni i czarni.
Przebrani w wieki różne, chodzą po pokojach;
Ten w żelazę okuty z oszczepem u boku

Waży się w śmiałym, mocnym, niezachwianym kroku,
 Tuż przy nim Pers ubrany w kaszmiiry bogate,
 Tamten znów oblókł dworu francuzkiego szale,
 Lub trubadur zaśpiewa słuchać ballad chcącym,
 O kochanku nieszczęsnym, o kochance drogiej;
 Przy śmiertelnych boginie, bogi i półbogi.
 I oko widza błądzi między mask tysiącem
 Jako śród elizejskich różnorodnych cieni,
 Którzy jakkolwiek różni — do nieba stworzeni,
 Tem niebem cesarz dzisiaj — on gwiazdą Syonu,
 Jemu chcą służyć wiernie do samego zgonu.

Wtem zagrzmiała muzyka — trzask drzwi — cesarz
 wchodzi!

Jak w kościele gdy boskie podnaszają ciało,
 Tak zmiłkli wszyscy razem -- tak się cicho stało.
 On jeden był bez maski; bo jemu się godzi
 Pokazywać wszem w obec i twarz swą i czyny;
 Cały kraj prawa swoje czyta z pańskiej miny.
 Twarz jego państw obszernych żywym barometrem,
 Gdy brwi zmarszczy — Jowisza brwią pioruny budzi,
 I jeśli Piotr był wielkim, on krok ma nad Piotrem,
 Tamten brody ciał ludzkie — ten głowy tnie ludzi!
 Dziś łaskawy — za rękę wiedzie cesarzową —
 Uśmiechnął się — bał cały odetchnął na nowo!
 Dwóch tylko ludzi do stóp pana się nie tłoczy —
 Obadwa w czarnych maskach, w płaszczu zawieszonym,
 Widocznie pogardzają wielkością i tronem
 Bo ku sobie ich ciągle obrócone oczy,
 I coś mówią po cichu — żyć muszą w przyjaźni
 Kiedy na społeczeństwo — zimni — nieuważni —
 Czasem nagle zamilkną — znak im pewno dano —
 Z pośpiechem wstają nagle, i znowu przystaną
 I znów coś jeden mówi — «Siedem lat w więzieniu?»
 «Tak jest — któż ujdzie kiedy swemu przeznaczeniu!»
 «Ale widzisz ten przepych — tę dumę — tę postać»
 «Widziałeś wojska jego, którym rozkazuje?»
 «Patrz, na te piersi biedne — on światu panuje!»
 «A z tej ducha przepaści nie mógł nie wydostać!»
 «Czuję całą moc w sobie — i wyższość nad niemi!»
 «Gdybyś wiedział com cierpiał — śród wilgotnej ściany»
 «Ściemnionego więzienia, okuty w kajdany»
 «Leżałem lat trzy blisko — łożę kawał ziemi,

« Strawą chleb, woda, była — i nie nie wydałem!
 « Przenieśli mnie gdzieindziej — pokój był obszerny
 « Ale w pokoju ciągle noc i dzień, oddziwny
 « I sześciu drabów stało — nocą nie sypiałem,
 « Bo sześć świec zapalonych wnieśli co dnia z mrokiem
 « I jak stado drapieżne za umarłem ciałem
 « Tak oczy drabów, światła, za mem biegły okiem,
 « I tak lat dwa przeżyłem i nie nie wydałem,
 « Później znów loch zamknięto nie widziałem słońca
 « Ani świece, ani ludzi — ciemności zamknięto.
 « Dnie okropne, bez światła zdały się bez końca
 « Sznurem mi chleba kawał i wodę zsyłano,
 « W nocym tęsknił do rana — do nocey znów rano,
 « Bo gdym usnął noc była — później w jakieś święto,
 « To święto być musiało, ktoś nagle wszedł do mnie
 « Ze światłem w ręku słabem — zrazu mówił skromnie
 « I prosił o wydanie, i płakał nademną,
 « Lecz gdym milczał, zakrzyknął z gniewem i zapalem
 « Żem wiecznie potępiony. — I znów było ciemno
 « I wszyscy mnie odeszli — i nie nie wydałem! »

Skończył — słuchacz już w własnem dumaniu zagrzęzły
 Widać myśлом się zwierzał — i myśl go uniosła
 Do reszty stargać duszy narzucone węzły.
 Wypłynąć chciał na ocean wolności, swobody,
 Wzniesić maszt większy, uderzyć z całą siłą w wiosła,
 I bujać jak po niebie buja orzeł młody —
 Stały mu w pamięci ludzie i narody,
 Gdyby on je mógł zbawić! — tak myśląc wzniósł ręce,
 I kiedy głowę podniósł chociaż w czarnej szacie
 Jemu się należały godności książęce,
 On w duszy — na wolności zasiadł majestacie!

Obudził się nakoniec — kończ, kończ, rzekł z pośpiechem,
 « Twoją powieść — jam prawda — bo wrzawa i tańce —
 « Kiedyś wyszedł? » — Przed rokiem uznany niewinnym »
 « I odtąd? » — « Myślę równo, nie liczę różańce.
 « Słuchaj, nieczynność bracie jest największym grzechem,
 « I tobie, tak jest, tobie potrzeba być czynnym.
 « Dziś jeszcze — chcesz ze mną? — godzina już bliska
 « Naszych schadzek, brat brata z przyjaźnią uściska
 « Rękę twoją! » — « Tę daję » — Muzyka balowa
 Zagłuszyła ostatnie nieznajomych słowa

I znikli — tak dwa listki lżejsze do polotu
 Z tysiąca które drzewo otrząśnie w jesieni
 Lada wiatrem powiane, rwa się bez powrotu
 I popłyną tam gdzie je spólny wiatr pierścieni.

II.

ZWIĄZEK.

Śniegiem ziemia pokryta, noc jasna i mroźna.
 Z szafiru niebios gwiazdy, jakby pełną dłonią
 Wysypane brylanty w szatę nocy wbito,
 Roziskrzzone świeciły — pora była późna —
 Śnieg błyszczał — w śpiż zegary czasami zadzwonią,
 Ulice puste niby z wód wyschłe koryto.
 Gdzie nigdzie tylko słychać chód krokiem mierzonym
 To szyldwach z bronią w rękę głucho się przechadza,
 Albo gdy rond nadejdzie, lub policji władza,
 Do przeglądu żołnierzy, woła głośnie dzwonem.
 Czarno sterczały domy — jak w księżycu blasku
 Pompejum wygrzebane z popiołu i piasku.

W jednym tylko coś miga na bocznej ulicy,
 Słychać szmer jakiś w górze, i światło od świecy
 Luną z okna wygląda choć je w głąb wciśniono,
 Choć okno czarną jakąś opięto zasłoną.
 Tam idą dwaj nieznani — przyszli — patrzą wszędzie —
 Cicho — nikt ich nie zoczył — więc jeden w dłoń klasnie —
 « Hasło » — ktoś pyta z sieni. « Jest, było i będzie » —
 « Dobrze » — drzwi się otworzyły. — « Czy są? — wszyscy
 właśnie, »

Tak mówiąc znova mocne zatrzaskał podwoje,
 Ręką wskazał — i w górne wiedzie ich pokoje.

W niezamieszkałej dawno, sali wielkiej, pustej,
 Zwykły stół był na środku — krzyż czarny na stole
 A przy nim osadzeni związkowi w półkole.
 Milczenie głucho w sali — trwożliwemi usty
 Nikt nie śmiał ruszyć wprzód aź doszedł z pewnością
 Czy sami bracia tylko między liczną gością;
 Bo dzisiaj wielkie rzeczy mają wnieść na radę
 Koniec mąk — wolność kraju — ciemieżcom zagładę!
 Tak więc nim do słów przyszło, każdy wzrok badacza
 Podnosi na przytomnych i w koło zatacza

Każdy chciwy znać drugich, ich myślenia sposób,
Ściga oczy, i okiem maca duszę osób.

Wtem drzwi się otworzyły — wszyscy wzrok podnieśli
Ku drzwiom — drzwi znów zamknęło — dwaj nieznani
weszli.

Maski czarne obudwom taily oblicza ;

« Kto jesteście ? » — najstarszy zawołał wśród grona,
« Ja » — jeden z dwóch odrzeczł — « między was się
liczę,

« Ten chce być policzony » — tu twarz odsłoniła

Stwierdziła mówcy słowo — skłoniono się nisko.

« Bracia ! » — rzekł dalej przybysz — « on krew i pieniądze

« Niesie w darze ojczyźnie, dar ten godnym sędzę,

« Wacław jest imię jego — znajome nazwisko.

« Bracia — dajcie mu w związku narad wolne krzesło

« Niech ja pierwszy uściskiem bratnim go przywitam. »

Gdy skończył — wiele głosów o przyjęcie wniosło —

« Dobrze więc » — rzekł najstarszy — « wprzód jednak
przeczytałem

« Rotę przysięgi naszej którą wykonano.

« Młodzieńcze — ot znak krzyża — zegnij twe kolano

« Rękę podnieś do góry i słowo po słowie

« Powtarzać za mną będziesz w następnej osnowie : »

Umilkł — wziął księgę — wszyscy powstałi za stołem.

« Przed rzeczą nieznajomą, bić nie umiem czołem,

« W kościele jednym tylko gnę kolano moje,

« Przeczytaj a zobaczę. » — Tak Wacław powoli

Pewnym głosem i z śmiałą odrzeknął postacią.

Ta mowa niespodziana — jego czarne stroje

I twarz — wszystko zdziwiło — choć więc między bracią

O wyjątkach zdań mnóstwo — każdy dziś zezwoli —

Przeczytano wprzód rotę z związku czarnej księgi,

I Wacław z chęcią słowa powtórzył przysięgi.

Po skończonym obrządku do rad przystąpiono,

W bliższe, węższe półkole skupiło się grono ;

A najstarszy wskazując ręką na swe łono,

Wzniosłszy do góry oczy, tak mówić zaczyna :

« Patrzcie bracia na ten włos, siedemdziesiątletni

« Starzec, mam życia mało — lecz jeśli godzina

« Nie wybiła mi dotąd, chwilę pożyć wolno

« Chciałbym dłoń moją jeszcze podnieść nieudolną
 « Na obronę praw naszych — a wtenczas mi zetnij
 « Głowę Boże — a wtenczas niech olśnią te oczy,
 « Niech sam wróg krew niewinną po ziemi rozbroczy,
 « Ja będę najszczęśliwszy! — Mnie prawda pacierze
 « Albo psalmów Dawida odświeżone żale
 « Bardziejby w wiek przypadły — niż mowy — zachęty,
 « A przecież słowa moje dziś od Boga dźwierzę,
 « Bóg raz jeszcze to serce roznieca w zapale.
 « Mówić — prawo jest moje — obowiązek święty!
 « Słuchajcież tedy bracia! — codzień z słońca wschodem
 « Okropności zwiększają — pełne są więzienia
 « Ofiar, niewinnych ofiar jak syn Abrahama.
 « Dzieci nam zabijają — z niemi ród za rodem —
 « Ojców w kajdany kuja — giną pokolenia —
 « Ledwie że ziemia pusta ostoja się sama,
 « Prawa nasze zgwałcone jako kiedyś ludu
 « Wybranego od Boga — podłość, nicią złotą
 « W tkanę ojczystej sukni, podstępem się wdiera;
 « Woła lud i ja wołam wszechmocnego cudu,
 « Wołam co dzień do Boga, że niewinność gnioł
 « Że lud jego — że naród — ojczyzna — umiera —
 « Bóg cudów dziś nie czyni — a więc własnej sile
 « Poruczeni jesteśmy — ratujmy — czas jeszcze,
 « Wkrótce zapóźno będzie — bo znaki złowieszcze
 « Wróżą zło — krzywd już tyle — i ofiar już tyle
 « Ratujcie bracia moi!

WIELU Z SPISKOWYCH.

Zemsta wrogom naszym!

JEDEN Z NICH.

Lukasiński w kajdanach, Dobrogojski, inni —

DRUGI.

Tysiączni naszej ręki wołają niewinni.

TRZECI.

A więc czego się wahać — przetnijmy pałaszem
 Ten węzeł który żadne słowo nie rozprawi,
 Czwarty pulk jest za nami — cesarz w naszej sieci!

CZWARTY.

Jutro więc —

PIĄTY PRZERYWAJĄC.

Niech się słońce w zachodzie zakrwawi!
 Niech dłużej niż codziennie, szkarłat zorzy świeci —

Śmierć tyranom! —

WIELU RAZEM.

INNE GŁOSY.

Śmierć z hańbą!

Z GRONA JEDEN *który milczał dotychczas.*

Słowo — bracia moi!

Zapał was za granice słuszności uwodzi;
Bez doświadczenia majtków burza niepokoi,
Bez sternika rozumu często błędzą młodzi.

WIELU RAZEM.

Sternikiem naszych czynów — zapał nasz i serce!

POPZEDNI.

Zapał słuszny rozumu nie ma w poniewierce,
Więc słuchajcie rad moich — słowo i nic więcej.
Chcecie czynów — a z działań czyż pewne wypadki?
Chcecie czynów — i śmiałych — a ze stu tysięcy
Ledwie jeden się uda, i ten jeszcze rzadki.
Cóż tedy! — broń zachwycić — zabić — zginać łatwo,
Ale coż po nas będzie — co z żonami, dziatwą,
Co z ojczyzną jeżeli sprawa chybi celu? —
Nas tu mało — lecz w kraju, w potomności wielu;
Tym wszystkim miecz wrzimy nieuważną dłońią,
Tych wszystkich zabijemy niedojrzałą sprawą.
Pytam więc tych co dzisiaj za czynami gonią,
Kto im nadał zabijać, i mordować prawo?
Nikt mi nie odpowiada? — milczą wszystkie głosy,
Więc ja wam chcę odsłonić kraju przyszłe losy:
Zginiemy: — to na wieki — jak wał jeden ginie
Gdy szturm morze rozsadzi, wiatr tysiąc napędzi,
Porwiemy się i zginiem, jak ów głos łabędzi,
Który dźwięczy i kona w tej samej godzinie.
Wojska ich niezliczone — a nasze orszaki
Garstka słaba — skarb u nich — u nas skarbu nie ma.
Cesarz dwie części świata w dłoni swojej trzyma,
Skinie — a zewsząd lecą pod cesarskie znaki
Nie żołnierze — narody! tak, narody całe.
My prawda rękę mamy, serce mamy śmiałe,
Ale coż jeden znaczy wśród licznych zastępów?
Skowronkiem jest — orszakiem wytropiony sępów
Wywinie się do góry — zaśpiewa — i padnie!
Przyszłość jak morze zdradna, burzę chowa na dnie;
Człowiek jak majtek często, czas nagli do biegu,
Uderzy raz dwa wiosłem, odbije od brzegu,

Aż Łódź chwiać się zaczyna — wiosło pada z dłoni,
 A wały rozpienione w kształt zbieganych koni,
 Łódź, majtka, w mgnieniu oka mokremi kopyty
 Przeleca — popchną na dno — i wbiją w otchłanie —
 Nieostrożny! on marzył wód podbić błękity
 A jak błoto uliczne zdeptanym zostanie!
 Bracia! tak my zginiemy, jeśli nieroztropnie
 Myśl wasza celów swoich i zamiarów dopnie.
 A zresztą gdzie szlachetność? Który Polak w domu
 Zdradził kiedy gościnność? — śpiących rzezał mieczem?
 Dotąd życia wiać zdradą nie umiał nikomu,
 Myż tylko wyrok hańby na siebie wyrzeczem,
 Myż gościnność Polaka zhańbimy na wieki?
 Cesarz nie wyszedł dotąd z świętych praw opieki,
 Bęben jeszcze nie wyciął hasła krwawej wojny,
 Jestem pewny, jak w Moskwie, spać może spokojny,
 Za odroczeniem wszystkich planów śmiało radzę!

Skończył — i usiadł w zwykłej rozsądnym powadze,
 Oczekując w milczeniu związku odpowiedzi.
 Dano znak głosowań — z rzędu jak kto siedzi,
 Głos swój wznosi z kolei, a w sprawie tak ważnej
 Każdy w myślach rozumny, zimny i poważny.
 Zbierają kryski — Wacław jeden wstrzymał zdanie;
 Gdy nagle jakby duchem obudzony bożym
 « To on! » krzyknął i z krzesła gwałtownie powstanie,
 I rzucił okiem swoim jak zabójczym nożem
 Na mówcę poprzedniego — « To on » — dodał znowu,
 « Znam cię dumny podstępco! » — « Co za on? » — szmer
 w koło —

Żaden nie wie jak wierzyć dwuznacznemu słowu —
 « Znać się dawniej musieli » szeptano po cichu.
 « Może jakie zatargi, kłótnie przy kielichu,
 « Bo obudwóch wzrok gniewny, zachmurzone czoło »
 Tak szeptali i zmiłki. — « Jutro » — rzekł nareszcie
 Oskarżony — « Pojutrze — znajdziemy się w mieście;
 « Dziś do kłótni czas nie jest, czas nie był » — wstał
 z krzesła

I Wacław; widać obu jedna myśl wyniesła —
 Pobiegł śpiesznie — gdzie poszli! — śledzą ich ciekawie,
 Noc obydwóch zakryła — czyliby na jawie
 Jeden z nich był czem innem i w sercu czem innem?
 Czyby chciał zdradzić braci? — przecież od zawiązku

Pokazywał się zawsze tak gorliwym, czynnym!
 Dziś tylko — długo bracia rozmawiali związku,
 I radzili co czynić, aż gdy kół turkoty,
 I miganie się świateł i stangretów wrzaski
 Dały znać, że już z balu wyjeżdżają maski.
 Związkowi tajemnemi wynieśli się wroty,
 Każdy płaszczem obwinał zadumane lice
 Wszyscy się w różne miasta rozpierzchli ulice.

III.

OBRAZY.

Gdzie mnie wiedziesz? — stolica została za nami.
 Księżyc schodzi z niebiosów — zorza nie daleka —
 Kiwasz i kiwasz ciągle — czy mnie wzrok nie mami,
 To cmentarz — grobów pełno — z trumien zdjęte wieka,
 Groby porozwalane — oszukańcze podły!
 Słowa twoje beczelne serca mi nie zwiodły,
 I strachy niczem dla mnie — znam się ja z strachami!

NIEZNAJOMY.

*(Siada na grobowcu, bierze duże trupie głowy i bijąc
 jedną o drugą poważnym głosem mówi.)*

Genjusz! kiedy burza ześle wiatry mściwe,

I morzem ognia niebo się zapali

Cheć jak rumaka schwycić fali grzywę

I twojem skrzydłem popędzić na fali,

Niechaj nadpowietrzne żagle

Serce moje — duszę wzmogą;

Chmury zgniotę moją nogą

I do jarzma wiatry znaglę. (1)

(Do Wacława.)

Tyś mój pan — jam twój sługa!

WACŁAW.

Jakto — co to znaczy

NIEZNAJOMY.

To moje wieczne prawo — tak jest, nie inaczej —

Moje prawo, mój w końcu obowiązek święty,

Temu się z chęcią oddać w poddaństwa usługi,

Kto jak Mojżesz, jak z resztą wielki prorok drugi,

(1) Z pierwszej części.

Przeszedł ludzi — w swej duszy boski, niepojęty —
Jestem na twe rozkazy!

WACŁAW.

Pochlebco nikczemny!

Myślisz, dumę podniosłszy, w obłok wzbiwszy myśli
Duszę prędzej ujarzmić — stopić ze złem ściślej —
Nie Szatanowi — będę przyjazny, wzajemny!

NIEZNAJOMY.

Krzywdzisz mnie, bardzo krzywdzisz!

WACŁAW.

Znam ciebie dokładnie.

Człowieka postać wziąłeś, ale w duszy na dnie
Piekło całe — tem parzysz kogo schwycić łatwo;
Znamy się już od dawna — czy nie pominisz o tem?

NIEZNAJOMY.

Widziałem cię dwa razy — raz pod karczmą — potem —
Nie — wprzód — gdyś z kościoła między mną dziaćwą
Na czarnym twoim koniu przez wieś pędził cwałem,
A raz trzeci dziś ciebie na radzie spotkałem.
Więcej nigdy, zaręczam!

WACŁAW.

By poznać dość, wiele,

Że prędzej ogień z wodą w jedno zlejesz ciało,
I czucie bijącego serca z zimną skałą
Niżli nas dwóch pospołu.

NIEZNAJOMY *z udaną pokorą.*

W jakim my rozdziele,

Wiem za nadto — jam sługa — tyś wszechmocnym panem.
Boli mnie tylko jedno — że nad moim stanem
Masz wątplenie — przysięgam — nie jestem Szatanem,
Chcesz dowodów? — Na piersiach, patrz, krzyż święty

wisi

Chcesz abym się przeżegnał? — Żegnaj się w trzy znaki
Ojca, Syna, i Ducha — czyż może być jaki
Dowód większy — ten szkaplerz darowali mnisi,
Mam i koronki z sobą, — nabożeństwa księgę.

(*do siebie*)

Dawno te wszystkie znaki straciły potęgę!
Zewnętrzność martwa kiedy dusza jej nie grzeje,
Ludzie już braćmi memi — i ty — mam nadzieję
Śmiałku, nim ty zostaniesz!

WACŁAW.

Jeżeliś katolikiem

Jak mówisz, czemuż język twój czarta językiem?
 Najhaniebniejsze rady z ust twoich wychodzą,
 Pamiętasz rzeczy któreś chłopstwu niewinnemu
 Kredensował bez liczby? — Czemu, powiedz czemu
 Ludzi nieobeznanych z myśli wartką wodzą
 Rozumowaniem wicherzyć! — Czemu dzisiaj znowu
 Szatański dając stempel i myślom i słowu
 Rozchwiałeś w mgnieniu oka wszystkich wolę świętą?

NIEZNAJOMY.

Jeżeli śmiało nie poszło jak było zaczęto,
 Widać że sprawa jeszcze nie dojrzała była.
 Kiedy co w czasie leży, tego żadna siła
 Wstrzymać nigdy nie może.

WACŁAW.

Lecz opóźnić może,

NIEZNAJOMY.

Chwilę tylko. — Niech całą obronę rozłożę.
 O chłopstwie mi wspomniałeś. — Jak od cedru fjalek
 W królestwie roślin różny, tak różni są ludzie.
 Czyliż wart który z chłopstwa kłóttliwego śmiałek,
 Ażeby mu o wiecznym mówić, prawie cudzie,
 Jak o piątem z przykazań żołnierzowi w boju?
 Wszedłem prawda, jeżeli pomnisz, do pokoju
 W innym czasie — śpiewali piosnkę narodową
 Ale właśnie ten śpiew mnie rozgniewał na nowo.
 Ciebie widziałem smutnym, i rozpaczy bliskim —
 Widziałem — twego ducha, jak nowym rozbłyskiem
 W nowe się światła stroił, w nowe tajemnice.
 Szczycić się będę wiecznie jak się dzisiaj szczycę
 Żem cię wtenczas mógł przejrzeć, i wielbić tajemnie;
 Zdawałeś mi się wielkim — tak wyższym odemnie,
 A przecież serce moje, two serce odgadło!
 W natchnieniu, w snach uroczych — nie marzyłem cu-
 dniej!

Rozchwiali mi sen cały — ludzie w sercu brudni!
 Łzy pjaństwo zastąpiło — śpiew ojezysty — jadło.
 Gniewny, nadzwyczaj gniewny, chciałem im przyznaje
 Myśl zwichrzyć i umęczyć — dla tego im kraje
 Łune, obce chwalilem — dla tego im pieśni
 Śpiewałem nieprzystojne — i gdybym miał koło,
 Koło na myśli zawrót — byłbym ich wesolo,
 W zawrót puścił, i kręcił, i nie wstrzymał wcześniej
 Ażby ich myśli nędzne wartkości nabrały.

Jeśli to grzechem, oto zbrodnia, grzech mój cały;
 Ty mnie potępić możesz, inny nie ma prawa.
 I ja cierpiełem w życiu, i mnie praca krwawa,
 Zmęczyła w mej młodości, zgubiła niestety!
 Straciłem wiarę wczesnie, książki mnie znęciły,
 W książkach ostatnie ducha wytepiłem siły,
 A świata różkosz płocha — miłość i kobiety
 Obaliły do szczytu — oto życia powieść
 Krótka — lecz dostatecznie powinna ci dowieść
 Czem byłem — czem być chciałem — czem jestem niestety!
 Nieszczęśliwemu jedno zostało w podziale
 Wyższych wielbić — o siebie z wzgardą nie dbać wcale!

Wichrzę się z dnia na drugi, bez zamiaru, celu,
 Gdzie przyjdę, rzadko znajdę przyjaznych mi wielu,
 Bo trudno na tym świecie o szczerych przyjaciół. —
 Tu inaczej — tu zaraz do tajemnych związków
 Wprowadzony zostałem — z których — później z czasem—
 Przyznaję, gdybym myśli, serca ich był zaciął
 Cóżby nie przedsięwzięli? — lecz z suchych gałązek
 Drzewo się nie urodzi — nie rozrośnie lasem.
 Tak więc, to com powiedział — jest — było koniecznem,
 Jak czas który ma nadejść kołowrotem wiecznym!
 Przyjdzie — przyjdzie zapewne — i ja zdanie zmienię;
 Ale to całe zginąć musi pokolenie
 Z tego już nie nie wzrośnie!

WACŁAW.

W przyszłych losów urnę
 Chwytną ręką zbyt śmiało.

NIEZNAJOMY.

Bo przejrzenia górne,
 Zwiastowanie poprzedza.

WACŁAW.

Bóg świat stworzył wolą!

NIEZNAJOMY.

Ale i prawa z światem — podług tego prawa
 Słońce choć co dzień ginie, codziennie powstawa;
 Planety i gwiazd tysiąc koło słońca kołą.
 Człowiek pewnym sposobem z dzieciństwa wyrasta,
 Narody jednym trybem powstają i giną
 I Polska, kolebana od rodziny Piasta
 W młodości ciało swoje, Elbą, Dnieprem, Dźwiną,
 Jak potrójnym łańcuchem opasała silnie.

W trzech stolicach : Królewcu, Krakowie i Wilnie
 Orzeł z zamku powiewał — a ręką rozrosła
 Ujawszy flag tysięcznych sternikowskie wiosło,
 Dwa morza zholdowała — Północ i Południe!
 Po tej wiośnie, niestety, — nieszczęśliwe grudnie,
 Siły jej —

WACŁAW.

Dość już tego — wam zinnemi słowy
 Kredensować i bluzgać — gdzie czynić wypada,
 W wielkich rzeczach nie z myśli, z serca płynie rada.

NIEZNAJOMY *do siebie.*

Nie trafilem, choć przecie jako szczur grobowy
 W jego się ciało, myśli, i duszę wżerałem,
 Spróbujmy teraz z większym przemówić zapalem.

DO WACŁAWA.

O gdybym klucz mógł znaleźć do serca podwoi!
 Pokazałbym ci ducha ludzkiego narodu!
 Dwa lata człowiek tylko ma serce za młodu,
 Potem i w myśli nawet działania się boi,
 Tobie ludzka przewrotność ledwie w słabem echu
 Zdaleka znana była — lecz rozpatrz się bliżej!
 Egoiści, obłudni, głupcy i nieszczerzy
 Rozpatrz się tylko bliżej, a pelen pospiechu
 Wciągniesz skarb twojej duszy do wiecznych kryjówek! —
(Jakoby myśl mu niespodziana przyszła.)

Ha!! — czy wierzysz w magnetyzm?

WACŁAW.

Nie widzę w tem grzechu!

NIEZNAJOMY.

Zmianę miejsca i czasu, dawniej czarem zwano,
 Dziś głupstwem, przesadzeniem nazywa półgłówek.
 A przecie, czem dla duszy, wieczór, noc lub rano?
 Czem dla myśli granice? — Kiedy w mgnieniu oka
 Przeszłość w czas terazniejszy zmienić dusza może,
 Przez najciemniejsze do gwiazd przedrze się bezdroże
 I w przyszłość strzelić umie żrenicą proroka.

WACŁAW.

Nie rozumiem dotychczas do czego to wiedzie.

NIEZNAJOMY.

Ńpomknąłem jedynie, że nie zawsze czarem
 Co z czasu albo miejsca mija się rozmiarem.

(do siebie.)

Dziś wszystko ich sposobem tłumaczyć wypada!

Ale od czegoż zaczęł Niech na samym przedzie
 Serce mu zajmie piękność nieszczęśliwa — blada!
 Bądź co bądź — ja od czynów odstraszyć go muszę!

DO WACŁAWA *w ciągu poprzednim.*

I duszą ma swe oczy i przegląda w duszę!
 Umiem magnetyzować!

WACŁAW.

Cóż złąd?

NIEZNAJOMY *coraz prędzej.*

Poznasz w chwili

Tych, którym życie twoje chcesz ponieść w ofierze.
 Ha! już mnie pierwsze drganie magnetyzmu bierze!
 Na ciebie je przelewam — niech w kształcie motyli
 Co prędko bawią oko i nigdy nie znudzą
 Obrazy się mijają — rzucam ręką na cię.

(*Robi magnetyzmu znaki.*)

Raz pierwszy, drugi, trzeci, w białej pięknej szacie
 Czy nie widzisz osoby!

WACŁAW *w letargu.*

Nieznajomą, cudzą —

NIEZNAJOMY.

Ja przez mgłę tylko widzę — bo oko i ucho
 Stępione już jest moje!

WACŁAW.

Głosy jakieś słyszę!

NIEZNAJOMY *z ironją.*

Wielki duchu, ty w słowa możesz ubrać cisze!
 W moich piersiach jedynych, w wrzasku nawet głucho.
 (Obrazy różne pokazują się jeden po drugim.)

OBRAZ PIERWSZY.

(*Młoda dziewczyna w bieli ubrana na łóżku spoczywa,
 przy niej trzy inne osoby*)

GŁOS DZIEWCZYNY.

Płyńcie, lzy moje płyńcie, ostatki pociechy!

Gdy się dzień zabieli,

Ujrzycie lica blade w małżeńskiej pościeli,
 Z niemi serce zastygnie, i ciężkie oddechy
 Z ostatnią łzą skonąją — pożalujesz córki
 Smutek ci marszczą gniewu z czoła wypogodzi
 Ale córki nie będzie, córki nie odrodzi —
 Nie szukaj jej do koła, na rzeki i wzgórki

Nie wybiegaj, i drogi nie krzyżuj daremno
 Tam gdzie ja będę ojciec — tam wieczyście ciemno
 Słońce nigdy nie błysnie, ani dróg tam nie ma.
 Bez celu, bez dążenia, wycieńczone duchy
 Chodzą tylko i milczą i myślą — i słuchają
 Wyciągają ciekawe — i trupa oczyma
 Gonią w ciemności jakieś obce, dziwne ślady.
 Ale tam same tylko szkieletów pokłady.
 Jeden chce wyrzec słowo, a słowo w paszczęce
 Wypalanej jak w puszczy ciemny wiatr zawieje,
 Drugi wyciąga zeschnięte, potrzaskane ręce!
 Lecz próżno gonią pamięć, stracili nadzieję.

(*Mocniej.*)

Ha! Jakaż obca, nagła, nieznana mi trwoga,
 Jak dreszcz śmiertelny wszystkie żyły wskroś przenika
 Ojciec, ojciec, ach ojciec! — oko się zamyka
 Tracę blask — tracę życie i Boga i Boga!

(*po pauzie.*)

Kto woła Ludmiłę!

Toś ty o duszo moja — ty serca aniele
 I ty tutaj? — tak zimno, tak smutno w kościele
 Ty mogłeś żyć — twe życie tyłom drogie — mile —
 Ale nie tyś winny!! —

Dla czegoś mnie nauczył że nad ojca, matkę
 I ciebie kochać można? — tyś mi tę zagadkę
 Która w postaci obcej jak motyl zdrętwiała
 W głębi leżała serca — wskrzesił, rozgrzał okiem,
 Stałeś się wróżką duszy i szczęścia prorokiem
 Pokazałeś mi z ziemi nieba okrąg cały,
 A dzisiaj —

Dziś dla mnie ślubny wieniec z rozmarynu plotą!
 Jutro, o Boże wielki, skronie mi uwieńczy —
 Tak chmurę czasem zwiąże żywa wstęga tęczy
 Póki wiatry jej kształtów jasnych nie rozmiotą!

Słyszysz Ludmiło! dzwonią — gdzież jest ślubna szata
 I myrtu gałązka —

Białą mi suknię dajcie, bielutką sukienkę
 Lekką, żebym ją w wieczność, za tysiączne lata
 Unieść mogła — nie dobra — za ciężka — za wązka —
 Lekką dajcie i białą do tego sukienkę!

Księżę wiąż prędzej ręce — czy chcesz tego męża?
 — Wy zawsze woli ehciecie niedorzeczni księża?
 Wiąż prędzej mówię ręce — zimna twoja stula
 A dziewczyna ma serce — a dziewczyna czuła —
 Mój ojcie — słuchaj córki — chmurne twoje czoło!
 Już po ślubie, i czegoż stoicie w okolo?
 Dalej w weselne tany!
 Ojciec łzami zalany
 Pan młody ściska usta — gdzie ojciec córeczka?
 Księżę gdzie twa owieczka?

Dzwonią — dzwonią — dzwonią? Ktoś umarł z okolie
 Kto umarł? Jakiś obcy, nieznajomy pyta.
 Toć zobacz! — Patrz — dziewczyna kirem jest okryta,
 A kir nie jest kamieniem — nie przyrosłym do lic.
 Odkrywa, zakrzyknął — czegoż krzyczysz bracie
 Czy tę biedną dziewczynę, czy Ludmiłę znacie?

Umarła gdy ślub brała
 Nazbyt, nazbyt kochała!

A on ściska i płacze i tuli do łona?
 Ale darmo zapóźno — nie żyje już ona!

DOKTOR.

W malignie dywaguje —

OJCIEC.

Ale gdzież w malignie,
 Szał romansów — kochanie — oto jej nieszczęście.

DOKTOR.

Puls jej coraz wolniejszy — serce bardziej stygnie —

OJCIEC.

Ludmiło słuchaj — wiecznie zerwane zamięzcie,
 Ty sama sobie męża obierzesz do woli.

DOKTOR.

Puls mocniejszy — przychodzi do zmysłów powoli.

LUDMIŁA budzi się.

Gdzież jestem? — Toś ty ojcie — czemuś nie wesoly?
 Ja w tej chwili słyszałam mówiące anioły!
 Trzech ich było — mówili — ach o czym — nie powiem.
 Jeden wziął suknię ślubną — tę samą złoconą
 Którą mam — drugi rączką obdarzył mnie zdrowiem,
 Trzeci wzbil się do góry, zwabił większe grono
 I wszyscy mi śpiewali — (*z bojaźnią*) ojcie, wszak ja żona!
 Chcę być — będę — tyś kazał — głowa moja głowa!!

INNY GŁOS.

Tylko jej dobrze pogroź a wnet będzie zdrowa.
 Udanie! — sztuka kobiet! — a ty przyjacielu
 Który żagle puszczasz kaprysom dziewczyny...

TRZECI.

Jak wieść gruchnie — przepędzi dom wojewodziny.
 Księżnej pani i innych uszu dojdzie wielu,
 Utracisz sławę twoją, dotąd utrzymaną,
 Wiesz dobrze jak się wczoraj z takich rzeczy śmiano.

DOKTOR.

Być może — ale jednak podług Hagemana...

GŁOS KOBIECY.

W ustach sina — na twarzy już blada jak ściana,
 Księdza, księdza co pędziej. —

DOKTOR.

Zapóźno umarła!

WACŁAW z uniesieniem.

Krzyczcie ze mną co mocy, co siły, co garła!
 Biada, ah biada ojcom, gdy dzieci zabijają!

NIEZNAJOMY *dając znak.*

Giń obrazie — niech obłok przepaścistą szyją
 Połknie senne zjawienia —

(Do siebie.)

Rozdrażniłem serce.

Teraz tylko iskierkę rzuczać po iskierce...

(Robi znaki.)

OBRAZ DRUGI.

(Pokój — kilku wyższych oficerów grają w karty.)

JEDEN z NICH *do ciągnącego bank.*

Piątka — czwórka i wygrywa dziesiątka —
 Cały bank pękł od razu; niech żyje ojczyzna!
 Od ran, głodu, niewygód, lepsza to pamiątka,
 Z resztą każdy czy volens czy nolens mi przyzna
 Że złoto nie jest słowem.

(Chowa pieniądze.)

DRUGI.

Żarty, wolne żarty

Ale teraz bank ciągnij! —

POPRZEDNI.

Nie gram więcej w karty!

INNY.

Rewanż nam dziś dać musisz.

POPZEDNI.

Służba przed zabawą,
Jutro na mnie przypada, żegnam was koledzy.

JEDEN z przegranych.

Otóżto parafjanom wdawać się z Warszawą,
Przyszedł, zabrał i poszedł prawie bez mej wiedzy.
To brzydko — wam odnoszę pod sąd czyn tak czarny!
Postąpił nieuczciwie —

WIEŁU.

Honor military
Nie o tem nie wspomina, grać każdemu wolno.

POPZEDNI.

Ale przecież grać można z wiarą zobopolną
I z uczuciem, nie ślepo.

JENERAL.

Gra jest jako wojna;
Żołnierzowi nie wchodzić w cele i zamiary.
Na posłuszeństwie ślepem stoi siła zbrojna,
Gdy podniosą sztandary, stawaj pod sztandary
Uderzą w bęben — bij się — śmierć, rany, niewola
Wszystko niczem — grunt rzeczy: nie uchodzić z pola.

PUŁKOWNIK.

I honor swój zachować! — dla tego z mej strony
Nigdy nie zaprzestane potępiać legjony.
Z czegoż powstały? z zbiegów — zbieg, zdrajca, toż
samo

Gdy służy się królowi — cześć, honor wojskowy
Żąda abyś go bronił do deski grobowej.

dwóch grających z sobą.

(Jeden :)

Za pozwoleniem — kralkę twoję biję damą
I areszt.

DRUGI.

(Rozgniewany już na wygrywającego, już na mówiących.)

Mniejsza o to — mniejsza mówię o to.
Przegrałem — dobrze — u mnie kruszczem tylko złoto;
Ale tych maksym waszych, nie myślę podzielać.
Więc człowiek niczem więcej prócz nędznej maszyny?
Gdy każą strzelać — musi ślepo bić i strzelać?
Ojciec do swoich dzieci? do swych ojców syny,
I te honor wojskowy — to wasze wawrzyny?

(Obraz się chmurą zasłania.)

NIEZNAJOMY.

(*Patrząc na twórzący się obraz nowy, mówi do Wacława.*)

W starej gofeykiej sali zbierają się goście,
 Na sześciu dużych stołach kilkaset talerzy,
 Jako w sześciu okrętach, na pokładnym moście,
 Żołnierzy pięćset w zbrojach snem ujętych leży.
 Srebra w górę sterczące i wetów zastawy
 Jak maszty podniesione żeglującej nawy
 Wspinają się ze środka — a śnieżne kryształy
 Malowane kosztownym, różnofarbnym sokiem,
 Sypią iskry na obrus rozpostarty biały,
 Jak gwiazdy kiedy błysną nieśmiertelnem okiem
 Za jasnym lub w lazurze rozbitym obłokiem
 Dano znak — jak na flocie w tył zbiegłe armaty
 Patrz — krzesła się ruszyły — i jak od naboju
 Każde cięższe na powrót wlecze się do stołu.
 Miękkie jedwabne kobiet powiewają szaty
 Czy słyszysz brzęk talerzy? — wyzywa do boju —
 Przyjaciół, nieprzyjaciół siadają pospołu.

OBRAZ TRZECI.

(*Biesiada.*)

DAMA *do sąsiadki.*

Jutro bal jest u księżnej.

MŁODY CZŁOWIEK *do sąsiada.*

Czy panu znajoma

Świeżo przysła broszura francuzka z Paryża?

INNA GRUPA.

On został, panie hrabia, kawalerem krzyża —

MŁODA DAMA *do drugiej.*

Co za czule małżeństwo — obok męża żona.

DRUGA.

Widać że im nie znany obyczaj, świat wielki.

MŁODY CZŁOWIEK *do towarzysza.*

Nudy okropne, gdyby nie było butelki!

INNA GRUPA.

Ależ tak panie pośle — sprawiedliwość, prawo,

Jest najświętsza człowieka i ludów ustawą

Pereat mundus, fiat justitia divina!

DRUGA GRUPA.

Patrz, patrz, otóż znów swoje formułki zaczyna.

POSEŁ *na ucho drugiemu.*

Konstytucji chcę uczyć dzieci przed pacierzem.

DRUGI.

A jak królów nie będzie? —

POSEŁ.

Cicho tylko, cicho!

Przynajmniej krząknij mocno, lub brząknij talerzem.

INNA GRUPA.

Cóż pan za książki czyta? —

DRUGI.

Jak zwykle, Woltera

To pisarz, to poeta!

PIERWSZY.

Dowcip nie umiera.

LITERACI STARZY.

W tak młodym wieku jeszcze, a już z taką pychą,
Powstaje na prawidła nieśmiertelne sztuki,
Nam odmawia talentu, zdatności, nauki,
A jego czemuż dzieła?

DRUGI.

Czas wszystko obali.

PIERWSZY.

O! temu nie dowierzać — z czasem rosnać mali;
I chociaż pewny jestem że on w nic zapadnie,
Jednak, tak nas pohańbić, oczernić szkaradnie
To zanadto. —

WACŁAW.

(*w letargu myśląc że i on na biesiadzie, mówi do nieznanego* :)

Patrz — kielich — witajże kielichu!

NIEZNAJOMY *korzystając z jego błędu.*

Nie tak głośno Wacławie — pocichu.

WACŁAW.

Chcę im zdrowie zawrzasać, z całej duszy z serca,
Każdy zadrzy jak listek, prawdy przeniewierca.

NIEZNAJOMY.

Ha! już ze złota niosą rozturchan ulany —
Patrz, patrz! — przeżył on zmianę niejednej kolei
Nad ludzi droższe takie stare rozturchany!
Ten zabytkiem jest jeszcze Batorego wieku,
W różnych on czasach różne myśli budził w czleku;
Dawniej bytu trwałego — dziś słabej nadziei!
Tak z portu migająca wysoko latarnia
Szcześliwych, nieszczęśliwych do siebie przygarnia,
Gospodarz wznosi toast —

PAN BIESIADY *w obrazie mówi.*

Kielich przy biesiadzie,

W dniu dzisiejszym — jest jako myśl w słowa osadzie,
Nierozdzielny, konieczny. — Kielich z dawnych czasów

Jest jako droga wolna wśród zarosłych lasów

Daleko nią iść można — któż więc zdrowie wzniesie?

WACŁAW *podnosząc rękę.*

Ja — kielich—do mnie — tutaj— na zdrowiu nie zbywa!

NIEZNAJOMY *dając znak.*

Za cieniem, marą tylko ręka twoja drze się,

Niechaj na obraz cały spadnie chmur pokrywa.

(Obraz znika.)

WACŁAW *obudzony.*

To czary są szatańskie!

NIEZNAJOMY.

To magnetyzm zwykły;

I skutkiem przytem myśli, które świat przenikły;

W powietrzu widzę zdala, jeden obraz jeszcze.

(do siebie.)

On poetą — ostudzę mu zapaly wieszcze.

OBRAZ CZWARTY.

(Sala — na środku trumna — ludzi pełno.)

NIEZNAJOMY *do Wacława, tłumacząc obraz.*

W sali gotyckiej znowu pełno światel błyska,

Nie biesiadnicze przecież widzę w niej kielichy,

Na żałobne obchody zmieniono igrzyska;

Koło trumny rzędami zasępione mnichy.

Patrz — usta ma w uśmiechu — oczy lekko mruży,

Jakby do obudzenia przeznaczone z czasem,

Biały atlas pod głową a lilja przy róży

Wygląda z rozpuszczonych włosów nad atlasem.

I wiele ludzi płacze przy dziewczyny trumnie;

Trzech tylko lzy nie spuści — spoglądają dumnie —

Wyżsi oni od gminu, choć nie możni w lata.

Każdy z nich ma czeigodny tytuł literata!

Niechaj więc inni płaczą, ich pisać rzemiosłem,

Niech żołnierz z prawa życie wystawia na kule,

Oni piórem po czasie pływają jak wiosłem,

I kiedy kto umiera, oni piszą czule. —

(W obrazie.)

JEDEN Z POETÓW.

Nie zła treść do ballady.

DRUGI.

Co mi tam ballady!

Historja, to prawdziwa do kopania mina,
Alboż to nie posiada skarbów Ukraina
Litwa — Wołyń — Podole — niech więc stare dziady
Jęczą, płaczą gdy umrze znikoma dziewczyna —
Mnie innych trzeba rzeczy, wyższych lutni strojów.
Śród niepogód, zdrad, nieszczęść, walki, krwawych bojów,
Tam wiersz płynie — gdzie indziej wlecze się z oporem.
Teatrem moich marzeń są całe narody.

PIERWSZY.

Miedzy literatami nigdy nie ma zgody,
Któryż na swe kopyto nie chce być autorem!

POPRZEDNI.

Trzeba patrzeć jak stwarza, nie na to co stwarza.

PIERWSZY.

Ależ to tym sposobem każdy co wiersz kleci,
Bajkę jaką napisze, lub powieść dla dzieci,
Byle dobrze, na imię zasłuży pisarza.
Dla czegoż tak rzadkimi wieley są poeci?

POPRZEDNI.

Stylem dobrym, w dźwięczącym poematów rymie,
Nieśmiertelności łatwo przekazać swe imię.

TRZECI POETA.

Sluchajcie! i ja prawo mam do odpowiedzi,
Kto nie ma serca, bracia, ten próżno się biedzi
Pisać choćby wiek cały, lecz i serce mało.
Tylko ten kto w natchnieniu wiek swój porozumie,
Komu ów tajny popęd jak stworzenia słowo
W świat się cały rozłoży, rozrośnie się w ciało;
I on to ciało widzi — w samotności — tłumie
W dzień i w nocy — i tego ciała jest połową;
Tylko ten który jako książdż w ubraniu świętém
Ludziom wszystkim mszę czyta przed wielkim ołtarzem,
Czy od razu pojęty — czy będzie pojętym —
Tylko ten mistrzem w sztuce — wielkim jest pisarzem.

(*Obraz znika*)

NIEZNAJOMY do Wacława,

Widziałeś różnych ludzi — ciż więc powołani
Do czynów nieśmiertelnych, do myśli wysokiej,
Ciż spełnić mają stwórcy wszechwładne wyroki?

Spełnione będą z czasem — lecz słuchaj — nie raniej
 Aż całe pokolenie w proch się i kurzawę
 Rozsypie ręką śmierci — wtenczas boje krwawe
 Inaczej zrozumieją — honor, cześć wojskowa —
 Owe bożyszcza wszystkich przejdą w pośmiewisko,
 Ojczyzna, wolność, wiara, bitew będzie hasłem:
 Wtenczas prawników zimnych na wiatr pójda słowa,
 Bentana, Benjaminów, zaginie nazwisko
 I jak martwą tę czaszkę o kamień roztrzaskam
 Ich nauka, ich formy, w zaburzonem czasie
 Na prochy się rozprysną — wtenczas ludów massie
 Przewodniczyć olbrzymi, wielcy ludzie muszą,
 I powstaną poeci — natchnieni prorocy,
 I lud jeden drugiemu pójdzie ku pomocy
 A narody zostaną stwórcy jedną duszą —
 W myślach tylko odmienne! — Wtenczas działać przyjdzie!

WACŁAW.

A teraz? każdy niechaj utajony w wstydzie
 Ręce swe założywszy zdaleka, swobodnie,
 Zimnem okiem spogląda na męki i zbrodnie!
 Otwórz więzienia wszystkie, ty który w rozumie
 Wieszców natchnienia dierzysz, i spojrzuj w więzienia,
 Przybliź się do serc młodych, jeśli z przeznaczenia
 Serce ci w dział przypadło, i czuć mocno umie,
 Komu te serca biją! — spytaj lud prostaczy,
 Spojrzuj na naród cały w smutku i rozpacz,
 Dowiesz się że czas blisko i będzie inaczej. —
*(Słonce wschodzi — z miasta przybliża się orszak po-
 grzebowy — słyhać śpiewy i modlitwy księdza.)*

CHÓR DZIEWCZYN.

Nie każdy kwiat ginie w lecie,
 Róża wędnie często w wiośnie,
 Życie jako sen na świecie,
 Ledwie zasniesz już ci po śnie.

CHÓR CHŁOPCÓW.

Ojcze, za córeczki wiano
 Złóż na trufną deskę cztery
 I lżę w oku — żal miej szczery,
 Lży przyjęte tam zostaną.

(Ksiądz posępnym głosem odmawiając modlitwy:)

Domine exaudi orationem meam!

NIEZNAJOMY do Wacława.

Słuchaj? to są dla ciebie, dla nas głosy wieszczce.

Raz ciebie proszę jeszcze, raz zaklinam jeszcze,
Dla miłości ojczyzny, bliźnich i rodziny
Zaniechaj przedsięwzięcia — opóźnij twe czyny!

WACŁAW.

Jam ci się z nich nie zwierzał.

NIEZNAJOMY *z zapalem.*

Biada, stokroć biada!

Gdy człowiek wcześniej zedrze z czasów swych zasłonę,
I widzi pod nią stare bóstwa obnażone,
Każde jak Saturn z dzieckiem — każde swój plód zjada.
Wiem o tem, wyrok wyższy i tych bogów strąca
Bo żelazną koleją pędzi w czas pierzechliwy,
Ale tylko ten wielki, ten człowiek szczęśliwy
Który wśród głosów mylnych, wśród wrzasków tysiąca,
Uchem duszy rozpozna przeznaczeń kół grzmienie
Wskoczy w rydwan wyroków, i zajmie siedzenie
I po czasie przejedzie jako Przeznaczenie!
Tyś w myśl. innych przerósł — tyś ręką twą śmiałą
Sięgnął do pana Boga po laury, po wieniec,
Tyś w myśli Bogu blizki — a jeszcze młodzieniec
Poznaj godność twą całą — twą wszechwładność całą;
Nie brudź duszy tak wielkiej robakami ziemi.
Jak orzeł ty w obłokach wznosisz się nad niemi.
Czyń — rozmawiaj — lecz tylko z duchami świętymi;
Ludzie — niech tobie służą jak ja służyć myślę!
Rozkaż, a wszystko zrobię.

WACŁAW.

Idź — puść mnie — dziś — teraz —

NIEZNAJOMY.

Trzeba — dobrze — lecz w sercu, w pamięci, w umyśle
Z tobą będę — i ciebie wielbić będę nie raz.
Jedno tylko mi przyrzecz — twą pomoc, opiekę
W razie potrzeby nagłej!

WACŁAW.

Tego nie przyrzekę.

NIEZNAJOMY.

Z litości chrześcijańskiej — służyć i bliźniemu!

WACŁAW.

Mniejsza o to. —

NIEZNAJOMY *do siebie.*

Więc dobrze — cmentarz moim świadkiem.
Ująłem cię sił ostatkiem,
Teraz nie wydrzesz się złemu!

(Pogrzeb się zbliża — wpuszczają trumnę do grobu.)

CHÓR DZIEWCZYN I CHŁOPCÓW.

Oczki młode żwir przypuszy.

Ziemia grzmi na trumny desce

Dajmy jej po szczerej lezce

I paciorek dla jej duszy!

KSIĄDZ. *(Kończąc swoje modlitwy.)*

Ex ore infantium — ut destruas inimicum!

(Nieznajomy znika, Wacław zamysłony odchodzi.)

IV.

ODKRYCIE TAJEMNE.

Trzy tygodnie miały Wacława pobytu,
Gdy przedmiotem, gdy uwag ludzi został celem.
Nazwano go tajemnym prawdy przyjacielem.
Zkąd wyrosło nazwisko tak pełne zaszczytu
Trudno badać — to pewna że czasem, w zapale,
Odpowiadał na zwykłe pytania, zarzuty,
Ale częściej zamilezał, i nie mówił wcale.
Bądź co bądź — wątku rzeczy szukano dopóty
Aż długa o Wacławie rozeszła się powieść:
Mówiono w niej, o duchach, tajemnym upiorze,
O tajemniejszym jeszcze przyjaciół wyborze,
I w końcu, że czynami chce śmiertelnym dowieść
Czem prawda — że ukrytą wielkość w sobie chowa,
Wielkość duszy! — co więcej choć w nim skąpa mowa
Choć każdą myśl przed ludźmi starannie zamyka,
W obieg pismo puszczone, lub wyjątek raczej,
Zapewne z codziennego Wacława dziennika;
Ale jakim sposobem nikt nie wytłumaczy.
Tak odgłos dział jęczący gdy chmury rozbije,
Zarazem w otchłań ziemi wpada — i korytem
Pewniejszym od powietrza bo ciemnem, ukrytem,
Płynie jak rzeka bystra w przepaściastą szyję,
Aż gdzieś — uchem dybiącym, podróżny daleki
Zrozumie głos podziemny, nurt pojmie tej rzeki!

PISMO W OBIEG PUSZCZONE.

« Biada tym niekzernikom w których duszy, jako
W stepach północnych krajów, czy słońce zaświeci
Czy wicher skrzydłem nocy z mrozem w paszczę wleci,
Zawsze głucho — samotnie — spokojnie — jednak,

Bo przyjdzie dzień jasności dla jasności powiek;
Czas nocy — jeśli w nocy duszą zagrzała człowiek!

Biada obrońcom wiary! którzy bronią wiary
Jako dawnych zwyczajów niedołężnik stary!
Ale spojrzysz w ich czyny, w ich zabiegi, cele —
Podłe, wierutne łotry, to ich przyjaciele!
Ich celem ziemskie tylko błyskotki i zyski;
Zabawą, na bliźniego rzucane pociski
A wiarą ich właściwą, ton jest towarzyski.

Widziałem ja i takich co w słowa bogaci,
W nauki jako w suknie dnia świętego strojni,
Tryb przytem pewny mając w ruchu i postaci,
Między głupimi mądrzy, szczęśliwi, spokojni.
Nigdy im niedostatek nauk nie dokuczył!,
Nigdy głód celów wyższych nie cieńczył im duszy,
Uczą drugich czego się każdy z nich nauczył!
I co dawniej słyszeli, uczniom trąbią w uszy.
Przyjdzie czas, ich nauki jako mgła na wietrze
Rozchwieją się, głos prawdy w proch ich głowy zetrze.
I Bóg wyrok pism świętych wszechwładnie dokona
Mędrzec w głupca się zmieni — głupiec w Salomona.

Biada ludziom bez serca! ludziom wiary małej,
Biada tym którzy sprawie nie uwierzą świętej!
Dusza ich — dom to z drzewa na węgle zgorzały
Od żadnego już ognia nie może być zjęty.
On do piekła na głównie od Boga przeklęty!»

— Słowa te tłumaczono, czytano dziwacznie.
Jeden w nich tylko widział zapał kaznodzieja,
Drugi że Wacław pisać dzieło jakieś zacznie,
W innych przyszłej wstąpiła odmiany nadzieja,
Albo też, myśli w żywych przekształcając ludzi,
Papieża, krwawych rządców, mędrków ganił trzeci,
Papieża — że go wolność z letargu nie wzbudzi,
Rządców — że naród cały obracają w dzieci,
Każdy jednak przyznawał Wacławowi cele,
Które ojczyźnie, ludziom obiecują wiele:
Tak prostak, wielkie często chcąc rozumieć myśli
Plany robi dziwaczne, domniemania kryśli
Aż w końcu, widzi biedak że pomimo woli

Zamiast wielkiego człeka, półboga obrazu
 Myśl olbrzymią rozpoczął odgadywać z razu,
 Ale na swojej płaskiej zakończył powoli. —

Co pewna — Wacław wyższy, od tych co z nałogu
 Albo myśleć się uczą, lub cześć niosą Bogu;
 Dusza ich piękna w słowach, w uczynkach jest inną
 Napróżno chcieć ją badać, bo nikt jej nie zbada;
 Każde ziarno w nią wpadnie jak w ziemię rodzinną,
 Ale i każde zmiecie lada deszcz, wiatr lada.
 Wacław co czuje, myśli, to w życiu, to w czynach
 Odgadnąć jako ojca z podobieństwa w synach,
 Jak wesolość w uśmiechu, jako żalność w oku.
 On, cokolwiek do duszy wielkiego wpłynęło,
 Jako piasek Paktolu, wybiera z potoku
 I na wieczyste, trwale przeistacza dzieło,
 Czasom przyszłym i ludziom, na dzieło nauki!
 Ale nie — któż w uczuciu cel sobie zasadza;
 Myśli w zapale twórczym jak napięte luki.
 Tam czyn, tam strzałę pędzą gdzie sięgnie ich władza!

V.

WYJAZD ZE STOLICY.

Początek był już marca — ranek zimny, śnieżny,
 Ziemi białość błyszczącą jak piersi lubieżnej,
 Chmur lekkie rąbki w górze niebu zasłaniały;
 Słońce tylko ciekawe, kochanek jej śmiały
 Wciskając oko przez mgłę wiewającej fali
 Czasem lekkim rumieńcem lica swe zapali.
 Taki dzień był wyjazdu Wacława z stolicy:
 Śnieżny — zimny — ponury — sanki na ulicy
 Zaprzężne w rzeźwe konie czekają od rana
 Na znak pierwszy — na wyjazd pożądany pana.

Wacław przecież opóźnia — poranek już mija
 Wacław pisze — dwa listy przed nim rozpostarte
 Zapisał jedną, drugą i trzecią już kartę;
 Nakoniec we dwa pisma odpowiedzi zwija;
 I klasnął — bieży sługa — oddał — « śpiesz z powrotem,
 « Czas wyjechać » — rzekł — prędko odchodzi służący;
 Wacław znowu przy stole zasiada milczący

I znów czyta : « Dla ciebie każdy moment złotym,
 « Szpiegi cię otaczają — wyjazd twój niezwłoczny;
 « Wszystkich podstępów świadek sam jestem naoczny,
 « Wyjeżdżaj — z kraju nawet — bo czas jest po temu
 « Jutro już trudno będzie zapobiec złemu! »
 On mnie to radzi? — nagli — który pierwszy duszę
 Wyniósł w górę, nad poziom znikomości świata,
 I dał uczuć gwałtowną moc woli człowieczej?
 Ja uciekać? — i przed kim? — darmo — przecież muszę;
 Zaklina mnie na przyjaźń, obowiązki brata —
 Jadę! ale nie długo przyjdę ku odsieczy,
 Wybiegam piórem ptaka, z orla wrócę szponą.
 Kto cofnął się na chwilę czyż go już zwalczone!
 I ten drugi list przylem! — jak siła z rozkazem,
 Przybywa niespodzianie z pierwszym listem razem,
 Czekam mnie ze granicą podstępca nieznośny;
 Dałem mu słowo — dobrze! » — Tak w myślach swych
 głośny

Wacław czytając mówi — schował listy wreszcie,
 Wstał i poszedł do okna — nikt nie idzie drogą.
 Co on robi? — znów słucha — nie słysząc nikogo,
 Tylko gwar zwykły ciągnie jako szum po mieście,
 Albo krok własny, mocny, głucho się rozlega
 O szczyty wzniesionego pokoju sklepienia.
 Przyszedł w końcu — « Czy wszystkie spełnione zlecenia?
 « Nie oddałeś przypadkiem? — komu? — w ręce szpiega —
 « Albo — » — « Gdzie miałem rozkaz » — « Jedźmyż bez
 odwłoki! »

Po schodach zatętniały przyspieszone kroki;
 Wsiadł — ręką wskazał — na śnieżnej zamieci
 Konie i sankę pędem naprzód leci,
 On sam jak w chmurze grom spoczywa cichy,
 W płaszcza zawojach, ściemnił swą postawę,
 Tylko na twarzy przelotne uśmiechy,
 Tylko westchnienie, wpół ucięte słowa,
 Jak wiatr, zwiastuje zbliżenie się burzy,
 Zwiastują cele tak naglej podróży,
 Zwiastują falę co zagrzmieć gotowa.

Wacław przybył do domu — witają — on wita —
 Cały dwór wesół — tysiąc pytań, odpowiedzi,
 « Jutro zjadą się wszyscy znajomi, sąsiedzi,
 « Jutro musi być ucztą wielką, znakomitą,

« Ojciec nasz gońców wysłał » — Wacław milczy na to;
Przez usta czasem tylko ciemne słowa cedzi:
« Jutro — nie dla każdego — przyszłość nam ukryta.
« Kto wie! dnia obecnego jutro zawsze strata! »
I przytem, co się rzadko Wacławowi zdarzy,
Łza mu z oczu wytrysła — spłynęła po twarzy.
Co ta łza! co ta mowa? — nigdy dotąd jeszcze
Nie płakał — w łzach smutku nigdy on nie tuli,
Dla czego rękę siostry ścisnął mocniej, czulej?
Pieszczoty nazbyt wielkie, znaki są złowieszcze;
Trucizna w żywym zwykle tai się kolorze,
Chmura piorunów pełna świeci jako zorze!
« Ale, żarty! » powiada — « wszak jesteśmy razem;
« Tylkom ja drogą osłabił, i późna już pora.
« Muszę iść — chciałbym jeszcze wyjść tego wieczora,
« Nacieszyć się znajomym okolic obrazem.
« Lubię z resztą powietrze czyste — mroźne — ostre.
« Z tobą — jutro być może — później rano — rychło!
« Zobaczymy się! » — skończył — pocałował siostrę,
I wyszedł ledwie słowo ostatnie ucichło.

Po prawej stronie dworca o dwa staje blisko,
Wpodłuż rzeki wieśniaków biedne stały chaty,
Po lewej widać było w ruinach zameczysko.
Wspaniałe może kiedyś przed stu, dwustu laty.
Dziś jako szkielet pusty sterczy tam na górze.
Znać jednak po wyniosłym i kamiennym murze
I po wale — po mostach — wpółzapadłej wieży,
Że pan jego, że dziedzic był z owych rycerzy:
Którzy ufni w moc własną i warownię grodu,
Z łaski tylko słuchali króla i narodu.
Dziś inaczej — dziś jodła swojemi konary
Mur zdobyła, ramiona wychyla przez szpary;
Dziś, jakoby czas zmienił ród ludzki w rośliny,
Bluszcz skromny pnie się w górę między rozpadliny,
Dziś tylko strumyk mruczy pod ciężkim kamieniem,
Który z wieżycy spadły przydusza bieg źródła,
I tam gdzie ludzie grzmieli całym pokoleniem,
Szemrze strumyk — bluszcz rośnie — i chwieje się jodła!
Ale w nocy — tam w nocy nie zachodzi człowieku!
Głośnie wieść postrach niesie — mówią że od wieku,
Od czasu kiedy zamku ostatni dziedzice
Mieszkać w nim zaprzestali — w samotnej komnacie,

Nocą się tak jak dawniej zapalają świece;
Twierdzą, że coś strasznego, w jakiejś dziwnej szacie,
Naksztalt ducha rycerza, z górnej schodzi wieży,
Brząka w koło, i stąpa, i puka i bieży;
A gdy ranny kur trzeci raz na dzień zapieje,
Wtenczas jak mgła przed słońcem tak straszycło znika,
Wiatr wpada, z burzy szumem światła wszystkie zwieje;
Słychać jak drzwi zatrząska i groby odmyka.
Nie raz noeni pasterze, bydło pasząc zdala,
Słyszeli nad porankiem ów turkot grobowy,
Zdało im się jakoby łamano posowy,
Że mur cały z tumanem kurzu się obala,
I słyszeli jęk jakiś pogrobowy, głuchy —
I że wsi nie raz widzieć, jak młode pastuchy
Pieczy ich poruczone opuściwszy bydło
Uciekali; zamkowe gnało ich straszycło.

Prócz strachów, zwykłych samotności dzieci,
Pajaka, dawnych ruderów strażnika,
Sowa czasami w gmach ten nocą wleci,
I słysząc smutne krzyczenie puszczyka.
Albo kurz wiatrem pędzony w półkole,
Przez drzwi otwarte wpada w to ustronie,
Albo myśl człowieka puszczone na wolę,
Czasem w tym zamku przeszłości utonie —
Nie człowiek przecie — bo któż się odważy?
Młódź nie dla grobów — nie dla duchów starzy! —
Dziś co za zmiana? — jakaś żywa postać
Wchodzi i patrzy jakby dojrzyć cheiwa,
Czy ją od świata dosyć gmach zakrywa,
I czy spokojnie w nim może pozostać!

Noc ciemniej coraz namiot z chmur utkany
Na światy rzuca, jak na paschy stoły;
Gwiazdy jak srebrne błysły rozturczone,
Z których blask czysty wypijają anioły,
A ziemię ledwie mętną kroplą darzą.
Księżyc obchodził z zamyśloną twarzą,
Ja k sługa wierny niebieskie obszary,
D wónastą ziemskie wybiły zegary,

VI.

SCENA ZAMKOWA.

(Rudera w sali dawnej, Wacław z pochodnią w ręku wchodzi.)

Sen pierzcha przed myślami jak ptak płochopióry
Przed nagłym strzelca chodem porywa się zdala.
Tak! — czuję — duch mój wyższy nad prawa natury!
On wszechmocnie świat tworzy, on w proch go obala,
Zwierciędli się gdy zechce, jak w kryształe światło,
W całym świecie — gdy zechce, odbiega porządku,
Inny świat mistrza ręką rzuca sobie na tło.
Bo on jeden bez ciągu, końca i początku!

Brzmia mi w pieśni tajemnej słowa przyjaciela:
« Patrz na tę dumną postać — zarządcą jest świata,
« Miljonom śmiercią grozi, lub życie udziela
« Toporem zmiennej chęci głowy ludzkie zmiata,
« Z tych piersi nie nie dobył, z tej ducha przepaści! »
Zrozumiałem cię bracie, przyjęło się ziarno!
Czuję godność, wszechwładność, człowieczeństwa właści —
Wszystko mi wydrzeć mogą, ducha nie ogarną!
Ciągnij ciało na męki i wymyślaj męki,
Duch w postaci anioła wzbije się do góry,
Jak na łożu z bławatu, spojrz na tortury;
Dumny kacie! duch jeden, żartuje z twej ręki!
Ojczyznę jego świat jest wielki, niedościgłe
Słońce, gwiazdy dziedzictwem — on odsuwa rygle
Zamku niebios, z niebieskich gmachów rzuca ogień,
On słowem, wody morskie w srebrne wały pognie,
On wiatrom technienie daje, gór pasma rozciąga;
On sprawił koło czasu, wiek spycha po wieku;
Jemu stanęła ziemia w kształt chwały posąga,
A ty sam, Boże wielki, widzisz się w człowieku!

Co za brzęk? — ha — dwunasta godzina wybiła!
To czas w którym najcięższa nocnych duchów siła,
Zadrzałem? — ja? — i przed kim? — czym nie wyższym
duchem?

Ja, który myśli mojej olbrzymim łańcuchem
Ludzi samych krępuje jak nędzne robaki?
Ja, który myślą moją jako ptak nad ptaki

Wzbijam się w oka mgnieniu gdzie skrzydło jej niesie?
 Chcę — i myśl jako olów przeszłość do dna wierci,
 Chcę — w przyszłość strzelam — przyszłość jako papier
 drze się;

Chcę — myślą czas uderzę, czas leci na ćwierci!
 Seiganiem rzeczy ziemskich gdy uczucie znużę
 Duch mój do nieba leci błyskiem wyobraźni,
 Da znak — i twórczym znakiem wydmie skrzydła chmurze,
 Olbrzymią wolą chmurę do burzy rozdraźni,
 I sam na haftowanym rojem błysków tronie,
 Gdy siądzie — niebo nad nim, ziemia pod nim leży —
 Orle, monarcho ptaków! czym moc twoich pierzy?
 On wiatry nieścięzione ujarzmił za konie!!

Dziś przecie — ha dla czego tak mi glucho, ciemno?
 Ze wszystkich gmachu kątów dym się jakiś wzdyma,
 Każda cegła, przeszłości rdzawymi oczyma
 Spogląda, jakby cały stary wiek był ze mną!
 Dreszcz mnie zimny przechodzi — to zimne powietrze!
 Nic więcej — czemu z resztą przeszłości obrazy?
 Niczem! są to umarłych języków wyrazy,
 Którym czas życie dawne i znaczenie zetrze,
 Potrzaskanem przez piorun gałęzistym drzewem,
 Które hyło — a teraz wypróchniałe leży,
 Strónami — które kiedyś głośnym brzmiały śpiewem,
 Dziś ledwie brzęk wydadzą gdy w nie myśl uderzy!

Teraźniejszy świat tylko jest wielki, jest boski,
 Przeszły, przyszły, są niczem! — Tak mi rzeźwiej, lepiej,
 Duch mój — czuję jak leci jak się niebios czepi —
 Widzę gwiazdy! — nie gwiazdy — to stworzenia głoski
 Pierwsze które Bóg skreślił — czytam w nich jak w księdze!
 Czytam! czuję! — kto mojej zaprzeczy potędze?
 Uciekacie? — Na próżno — ja za wami pędzę
 Na lżejszych myśli skrzydłach — chcę — zrobię was ni-
 czem
 Chcę — z wschodu w zachód wszystkie, woli mojej biczem
 Jak drogą trzodę błędną, po mlecznym obszarze
 Poprowadzę, i w wieczną przepaść was utopię! —
 Ha — co to jest — gdzie gwiazdy? ludzkie widzę twarze;
 Ludzi pełno, miliony, światy przy ich stopie
 Leżą jak sługi wierne, gdy rozkażą pany,
 To nie światy — to chmury — jako snop przy snopie,

To nie chmury — zawoje — lśniące się turbany
 Srebrem tkane — na wschodzie rozsypane w koło.
 Ku wam więc wznoszę moje jak świat silne czoło
 Niechaj zawój rzeźwiący jak laurowy wieniec,
 Orzeźwi skronie moje! — niechaj z nieba rosa
 Spodnie tutaj — niech w tęczę zegną się niebios
 I dotkną czoła mego — potrzebne ochłody!
 Nie słuchacie! jam silny — jam w wieku młodzieniec —
 W myśli jest dusza stwórcy! — Nie słuchacie pana?
 Dobrze a więc zginiecie — w kroplę mętnej wody
 Scisnę was — albo skinę — i na rozkaz duchy,
 Niższe duchy, jak wiatry ostrożebne z rana
 Rozehwieją was na strzępki — na pierze — na puchy,
 I bez śladu zginiecie! — nie słuchacie jeszcze?
 Wy więc duchy nadziemne sługi mej potęgi,
 Posłuszne mi jak oku abecadło księgi,
 Jak sercu czującemu są natchnienia wieszczę —
 Was wzywam — tu stawajcie — ziemim prawda synem,
 Ale wyższym od innych, bom wolnym człowiekiem.
 Mnie piersi macierzyńskie nie karmiły mlekiem;
 Męczarniami jam wyrósł — myślą — czuciem — czynem,
 I tak jak cerber piekło, wrzaskiem trójpaszczeki
 Obszczekiwał przed laty, stróżem będąc czujnym,
 Tak ja was grzmiącą piersią, zakłębem potrójnem
 Wzywam do stawania — znak daję mej ręki!

Ha — głosy? — to ich głosy! — jakiś akord dzwonią!
 Słucham was! — jak dech wiatru na Eolskiej lutni
 Tak miłe, ciche głosy — płynicie, płynicie duszy
 Mocniejsze — palce w biegu jedne drugie gonią —
 Wolnieją — z kąd ta żalność? — brzmia słabiej i smutniej,
 Ledwie czasem strunami ręka lekka ruszy.

SPIEW ZA MUREM.

Pośród śniegów i zamieci,
 Gdzie w przepaściach dróg są końce,
 Przewodnikiem białe słońce,
 Któż tak spieszy, któż tak leci
 To młodzieniec, zapaleniec,
 Szuka dawnej serca straty
 U nóg Alpy lodowatej!

Tam w dolinie, przy leszczynie,
 Pełno kwiatów, pełno drzewa,

Strumyk cicho mrucząc płynie,
Słowik nad strumykiem śpiewa;
Lecz młodzieniec, zapaleniec
Szuka dalej swojej straty
Minął strumień, chłód i kwiaty.

Smiech, zabawa — tańców wrzawa,
Ledwie miejsce wśród natłoku,
Jeden tylko w kącie stawa,
Bładych liców ze łzą w oku,
I żalobnej, smutnej szaty!
To młodzieniec, zapaleniec,
Staął — płacze serca straty!

Czegóż wzdychasz zapaleńcze!
Świat ci się w koło uśmiecha
Ja ci kwiatem czoło wienczę,
Czyż kochanka nie pociecha?
Próżne miłości wypłaty;
To młodzieniec zapaleniec
On wciąż dawnej płacze straty.

Sen ci wieczny, żony, może
Przyjaciela zamknął oko?
Smutek i płacz cóż po noże?
Przecież on wzdycha głęboko!
I młodzieniec, zapaleniec
Jakby we łzy był bogaty,
Wciąż nieznanej płacze straty.

Czas się zmienił, ludzie z wiekiem,
Wiosna pierzchła, przyszła zima,
Ten co młodym był człowiekiem
Kij w zesłabej dłoni trzyma.
Znikł młodzieniec, zapaleniec;
Starzec z niego wyrósł siwy!
Ale starzec był szczęśliwy!

On z wędrówki smutnej, długiej,
Szukając straty nieznanej,
O rodzinne trącił ściany
I rozpoczął żywot drugi.
Dziś weselne przywdział szaty,

Lubi ludzi, góry, kwiaty,
Bo w ojczyźnie jak przed laty!

W ojczyźnie? — kto to wyrzekł? — stojcie — nie już
więcej,

Myśli moje się płaczą, gdzie jestem? gdzie byłem?
Obrazy krążą jakieś przed okiem zawilem,
Widzę krew! głowy lecą ludzi stu tysięcy —
To bracia moi! — gdzie kat? — pomszczę się krzywd braci
Broni! broni! chcę — muszę — ręka moja dzielna —
Dusza wolna — olbrzymia — wielka — nieśmiertelna —
Gdzie oni? — gdzie ludzkości krwią spryskani kaci? —
Co za orszak żałobny kurzem z ziemi krwawej
Kłębi się i wysuwa — w oczy mi zachodzi?

Wiatr go pędzi, — nademną płaszczem się zawiesza,
Spada — spada już na mnie! — wiatr jak powiew sławy
Dawnej, zamilkłej, czuję — przypomnień powodzi
Tak jasno przy mnie, we mnie przodków wstaje rzesza!
Znam was duchy zagaste — ziemia waszą matką,
Niebo ojcem — ha! — błysło gwiazd czystych żrenicą,
W piersiach moich tak lubo — gwiazdy mi tak świecą!
Świećcie, świećcie, — bo serce — bije wolno — rzadko —
Usypiam jak ta piosnka, śpiew młodzieńca straty:
On w ojczyźnie jak przed laty.

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Moje imie? — kto woła me imie! —
Precz, precz, idźcie odemnie, nikczemna gawiedzi!
Jak z spalonego drzewa dym w niebo wyrasta,
Tak z wieków ognia duch mój błyskiem ciągnie w dymie,
Do wyższych światel, kędy Bóg na słońcu siedzi!
Depczę znikome groby, w gruzach — ległe miasta,
W ciele mojem jedynie wasze jeszcze ciało;
W duchu moim duch wieków, tkanką w myśli szacie,
Dziedzictwo wasze mojem dziedzictwem się stało:
Duchy dumne, dumniejsze dziecko, syna macie!

GŁOS ZA OKNEM.

Wacławie!

WACŁAW.

Znam głos. — Znikły — marzenia! — marzenia!

GŁOS ZA OKNEM *po raz trzeci.*

Wacławie!

WACŁAW *przybliża się do okna.*

Co za postać wyrasta z kamienia!

Lutnia w rękę — włos dziko rozpuszczony z głowy,
Rusza się — blada jakby posąg marmurowy,
Ten głos —

HELENA *siostra* Wacława *wbiega i rzucając mu się do szyi.*

Jest siostry twojej — przyjaciółki — więcej —
Twoje słowa — sny dzikie — żal jakiś dziecięcy,
Burza i niepokój — wybiegłam więc z domu,
Szukać ulgi, pociechy, której mieć nie mogę.
Wiatrom skarżyć się chciałam gdy nie mam nikomu
Lutni brzmieniem łzom rzewnym przynieść zapomogę,
I błędzić, płakać chciałam. — Czy ręką anioła
Wiedziona, na tę zamku wyblądziłam drogę,
Nie wiem — bo wszystko było tak ciemno dokoła —
Ale bracie! tyś blady — oczy twe zbłąkane —
Co ci jest? milczysz — Boże! —

WACŁAW.

Co mi jest? — nie weale!

Jam wesół, lecz patrz — widzisz — *(wskazuje.)*

HELENA.

Starą widzę ścianę
Twoja pochodnia gaśnie — to cień twej pochodni.

WACŁAW *przychodząc do siebie.*

Śmieć się! — prawda — człek czasem, w szaleństwie, w
zapale—

Widzi — przecież nic niema teraz lepiej, chłodniej,
Ach śmieć się ze mnie siostró! człowiek dziwny czasem!
Jakby od świata jakim czarnoksiężkim pasem
Oddzielony ma swoje głupstwa, przywidzenia;
Gotów płakać choć nie jest w nieszczęściu, w ucisku;
Jak ten co na publicznem będąc widowisku
Łzy i śmiech, razem z sceną, z kulisą odmienia
Czasem myśli że widzi — a pusto przed okiem,
Czasem myśli że słyszy — a w okołu głucho!
Czasem myśli że czuje — a to krwi drażnienia,
I tak płynie dzień po dniu, rok zbiega za rokiem,
I czas zwodzi — i serce — i oko — i ucho. —
Siostró śmieć się — to wszystko głupstwo, przywidzenia.
Więc i myśl marą tylko? —

HELENA.

Uspokój się bracie!

WACŁAW *żywiej.*

Ale czemuż litości nad nami nie macie?
Co tobie szkodzić mogły sny moje dalekie
Żeby je rwać i niszczyć? — kiedy myśli lekkie
Wzbijają nas choć na chwilę, wyżej, trochę wyżej,
Otóż już ojciec biegnie — siostra — brat — znajomy,
Choć żaden się do ciebie na krok nie przybliży!
Każdy — jak ów przewodnik co z chmur sący gromy,
Dla ostrożności domów wyrosły nad domy —
Stosunkami, przyjaźnią — wabi cię z daleka
Póki na nowo w glinę nie wlepią człowieka!

HELENA.

Gniewasz się na mnie?

WACŁAW.

Gniewać? — tożby gniewem było?

O; nie wierz temu, mnie zawsze tak miło
Być w towarzystwie ojca, brata, siostry!
Dziś tylko — bo wiatr tak zimny i ostry
Dziś — noc tak ciemna — dziś chmury tak płyną —
Gdyby nas ojciec, kto inny zobaczył?
Jakżeby dziwnie rzecz tę wytłumaczył!
Niewinna, sama byłabyś przyczyną
Szyderstw i obelg — kar i potępienia,
Ja może dzisiaj — jutro bez wątpienia —
Porzuc te płacze — Bóg czuwa nad wszystkim,
On wszak i ciebie nie puści z opieki,
On widzi listek i czuwa nad listkiem,
On jarzmi wiatry — oprowadza rzeki —
Wszystkim strumieniom bieg po świecie znaczy.
Miałżeby ludzi opuszczać jedynie?
Smutek ci łzami z serca nie wypłynie,
Nadzieja słaba — moc wielka rozpaczy!
Porzuc te płacze — zapomnij! — z kim innym —

HELENA.

A! tak się świadczę Bogiem i sumieniem
Żem ja niewinną, aleś ty jest winnym!
Więce myślałeś że jak wy — my zmienim?
Za każdą chwilę — duszę — ołtarz — Boga?
Ach! kto anioła ocenił w swej duszy,
Ten się na słowo śmiertelnych nie wzruszy.
W piekło i w niebo nie taż sama droga!
O nie — tyś mocny — i ja mam przysięgę,
I jak ty mogę przekleństwami władać,

I jak ty słowa okropne wygadać,
I jak ty — dusza wszędzie ma potęgę,
Więc słuchaj, słuchaj, zapózna twa rada!
Bóg moim świadkiem —

WACŁAW.

Biada, stokroć biada!

Kto Boga wzywa w zabronionej sprawie!
Tyś siostrą moją!

HELENA.

Czyż to sen na jawie!

Czyś mi sam lilję nie dawał w przykładzie,
Która kochanków w jednej ma łodydze?
Ależ ja błędna wierzyłam! dziś, widzę,
Nie trzeba sądzić serca po ust radzie!
Wacławie! — bracie! — nie, ja mocy nie mam
Robić wyrzuty kiedy kocham szczerze.
Słuchaj! ja twoim wszystkim słowom wierzę,
Jako pacierza twych się sądów trzymam,
Tylko mi kochać nie zabraniaj siebie!
Przecież jeżeli Bóg w potężnem niebie
Grzesznika duszy nie odrzuca w gniewie,
I ty aniele nie odrzucaj mojej!
Konieta czasem powie, sama nie wie,
Dla czego jej się taka myśl uroi,
A potem płacze nad każdą literą,
Kiedy jej myśli uczucia zabierają.
Wtenczas — o przebac — przebac przyjacielu!
Jam cię musiała rozgniewać w zapale,
Może po latach upłynionych wielu
Widząc łzy ciągłe, pokutę i żale,
Cudów nie zechcesz wymagać odemnie!

WACŁAW.

Wyrzutom służą wyrzuty wzajemnie.
O liljim gadał! — któż zaś nie pamięta?
I przytem ręce całował i usta!
I jam cię uczył że to rozkosz święta!
Błąd pierwszy, rajska! — to była rozpusta!
Nie prawda siostro?

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Przypomnij!

To rzecz jest wielka — wiem, późni potomni

Uczyć się będą tego na wyścigi!
 Jam ciebie — tylko wspomnij sobie lepiej,
 Jam cię zachęcał żartować z religji;
 Bo jedna zbrodnia drugą zbrodnię krzepi!

HELENA.

Nieprawda!

WACŁAW.

Także? — wszelako o lilji
 Mówilem długo — pamiętam — wieczorem
 Jam wracał, jeśli pamięć mię nie myli,
 Z kościoła — przyszłaś pytać czy nie chorym,
 Wszyscy pytali — byłem słaby mocno!
 Lecz nie na ciele: na umyśle słabym!
 Czulość w słabości potrzebną — pomocną,
 Złe ze mną było — bo wtenczas — ach jaby
 Wszystkie roztargał człowieczeństwa węzły,
 Byle te myśli co w duszy uwięzły,
 Wysadzić z głowy, wyrugować z serca.
 Siostro! tyś przyszła jako anioł do mnie,
 Jam ci o lilji wspomniał bezprzytomnie —
 I tak brat siostry własnej przeniewierca!

HELENA.

O nie — tyś wyrzekł — nie wtenczas — przypadkiem —

WACŁAW.

Więc z czystą duszą, Bóg jest moim świadkiem!
 Czyż mogłem przeczuć że słowo, jak z ziarną
 Kwiat zakazany, w twem sercu wyrośnie?
 Dostrzegłem ale zapóźno, niestety!
 Z białości plama nie wychodzi czarna!
 Siły rodzącej nie zatrzymasz wiosnie!
 Miłości z serca nie wydrzesz kobiety!
 Chciałem! napróżno! — cóż pomoże słowo!
 Gdzie czucie niema ucha dla wyrazu?

HELENA.

Nie mów tak, nie mów! — jam była gotową
 Każdy cień twego wypełnić zozkazu!
 Tylko ta miłość! —

WACŁAW.

Zbrodnią nazwij raczej!

HELENA.

Miłość czy przyjaźń — cóż mi słowo znaczy?
 Miłość czy przyjaźń — jam ciebie kochała!
 Ty że mnie kochasz, już od tego razu

Nigdy nie słyszę — gdzież nadzieja cała?
 Twój głos codziennie zimny, groźny bardziej —
 Wacław pieczętą siostry swojej gardzi!
 Mowa twa czuła — dziś jak księga mistrza!
 Wiary nauką twoje myśli trąca,
 Lodem wyziębiasz duszę mą gorącą!
 Bodajby zimna Bogu była czystsza!

WACŁAW.

I będzie pewnie. — Słuchaj — czas już nagli —
 Mnie wyższe z sobą porywają cele,
 Wolność, ojczyzna, wrogi, przyjaciele.
 Jutro — dziś jeszcze — polnym wiatrem żagli
 Ja płynąć muszę — ty módl się za brata —
 Powrócę może — za rok — za dwa lata,
 Nie płacz — o prędzej, skoro będzie można —
 W świat mnie dziś gwiazda wywodzi podróżna.
 Może i kiedyś! — Lecz patrz — co za luna?
 Brzask dzienny świta, na dół zejść nam trzeba. »

I w rzeczy samej, z nocnego całuna
 Coraz się bardziej wysuwały nieba!
 Z wschodu na skrzydłach porannej zamięci,
 To śniegu tuman przez parowy leci,
 To się na polach rozwietrza wir piasku.
 A czujny rolnik wstawszy przed drugimi
 Widział jak z góry przy głuchym stóp trzasku,
 Człowiek, jakoby duch z tamtego świata,
 Unosił dziewczę jako duszę z ziemi,
 I znikł na dole, jak cień co przelata.

ZAKOŃCZENIE.

Wacław wyjechał — dokąd? — na świata obszary —
 Krótkim był w pożegnaniu — uściśnienie dłoni,
 Łza w oku, bądźcie zdrowi! — czyż spełni zamiary?
 Czas okaże — a pióro wieszcz kiedyś odsłoni!
 Jam chciał mu pieśń ostatnią, śpiew nócić podróży!
 Ale zaledwie myśli skrzydłem się uniosły,
 Wypadło pióro z ręki — bo pod piórem rosły
 Inne, okropne słowa! i nie śpiewam dłużej! —

KONIEC.

Paryż, w drukarni braci Rouge, Dunon i Fresné,
 ulica du Four-Saint-Germain, 41.



BIBLIOTEKA LUDOWA POLSKA

(Cena każdego tomu 25 cent.)

DZIEŁA DOTĄD WYDANE :

Dwie pierwsze serje zawierają tomów 40.

Serja trzecia :

- 41. ŚWIAT I ZIEMIA, przez J. I. Kraszewskiego.
- 42. O PRACY, przez J. I. Kraszewskiego.
- 43-50. PAMIĄTKI JPANA SEWERYNA SOPŁICY, Cześnika Parnawskiego.
- 51-52. PRZYSŁOWIA MÓW POTOCZNYCH, przez Maksymiljana Fredrę.
- 53. WACŁAWA DZIEJE, przez Stefana Garczyńskiego.
- 54. PIEŚNI I BAJKI, przez Antoniego Goreckiego.
- 55. PAMIĘTNIKI JANA KILIŃSKIEGO.

Następujące tomy tejże serji zawierać będą oprócz pieśni Karpińskiego, zbiór odezów Tadeusza Kościuszki z 1794 roku, i inne cenniejsze historyczne i literackie utwory; prócz tego większym drukiem, książki elementarne dla ludu, żywoty SS. i bohaterów polskich i krótkie w przedmiotach naukowych traktaty.